



MYŚLEĆ PO POLSKU

edycja II

Duch i charakter Solidarności Walczącej

Czytaj na str. 3



Fot. Artur Waszkielewicz

Historia jako historia rodzinna



Adam Zamojski jest historykiem, autorem książek, wydawanych w oryginalnej angielskiej wersji językowej oraz artykułów, wykładów i wywiadów, zwykle ukazujących się w Londynie. Pisarstwo to skupia się przeważnie na historii lat końca wieku XVIII i części wieku XIX.

Str. 11

Męczennik przyszedł do męczennika



Miejscowi oraz przyjezdni goście wypełnili szczerze świątynię, liczne pocztysztandarowe dodały uroczystości splendoru, a jeden z oddanych parafian ufundował relikwiarz. Liturgii przewodniczył ksiądz Andrzej Dziełak, kolega księdza Jerzego z czasów odbywania zasadniczej służby wojskowej.

Str. 18

Śmierć Berii



Marszałek Żukow w swych wspomnieniach pisze, że Beria podczas śledztwa i procesu sądowego zachowywał się bardzo brzydko, bez godności. Błagał sędziów o darowanie mu życia, płakał, a kiedy prowadzono go na rozstrzelanie, kompletnie się rozkleił, zrobił kupę w spodni, cały był upaprany...

Str. 20

PROTEST

działacze podziemnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów i innych organizacji niepodległościowych w sprawie wyboru Marszałka Sejmu

My, działacze Niezależnego Zrzeszenia Studentów, pierwszej z niezależnych organizacji zdelegalizowanych w stanie wojennym oraz innych konspiracyjnych formacji niepodległościowych wyrażamy swój stanowczy sprzeciw wobec powierzenia godności Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej człowiekowi, który w czasach wojny wypowiedzianej narodowi polskiemu przez juntę Jaruzelskiego budował swoją karierę jako funkcjonariusz reżimu komunistycznego.

Dopuszczenie do pełnienia funkcji drugiej osoby w państwie aparaczyka wywodzącego się z nomenklatury partii będącej narzędziem obcej dominacji, realizowania obcych Polsce interesów i eksploatawania polskiego narodu – uważamy nie tylko za potwarz w stosunku do naszej ojczyzny. W obliczu narastających zagrożeń dla niepodległości państwa – człowiek o takiej przeszłości nie może być gwarantem stania na jej straży.

Do PZPR, partii zwalczającej polską podmiotowość, Włodzimierz Czarzasty zapisał się przecież w czasach zmagania o polską wolność, w których polskich patriotów i państwowców zabijano i tysiącami zamykano w więzieniach. Właśnie w czasach najjaskrawszej próby – z własnej woli dołączył do tych, którzy byli przeciw narodowym i obywatelskim wolnościom oraz elementarnym prawom człowieka.

Dlatego uzasadniona jest obawa, że po Włodzimierzu Czarzastym w roli drugiej osoby w państwie spodziewać się możemy właśnie takich wyborów, jakich już dokonywał w swojej politycznej przeszłości. Polsce – rokują one jak najgorzej. Uważamy też za w najwyższym stopniu oburzające, niepokojące i niemożliwe do zaakceptowania to, że większość obecnych posłów na Sejm RP zdolna była dokonać wyboru tak haniebnego i tak dla Polski złego a nawet niebezpiecznego.

Reprezentanci NZS, Solidarności Walczącej oraz struktur NSZZ Solidarność



SS Prawda jest ciekawa

Redaktor naczelny: Marta Morawiecka, **sekretarz redakcji:** Tomasz Białaszczyk.

Autorzy: Artur Adamski, Andrzej Bafalukosz, Tomasz Białaszczyk, Marek Bober, Piotr Chełstowski, Ryszard Czarnecki, Michał Drozdek, Anna Fastnacht-Stupnicka, Piotr Gaglik, Grzegorz Gorczyca, Mieczysław Góra, Krystyna Jagoszewska, Mateusz Jerzmański, Zbigniew Makarewicz, Adam Maksymowicz, Andrzej Manasterski, Agnieszka Marczak, Maria Morawiecka, Marta Morawiecka, Jerzy Pawlas, Aleksandra Polewska-Wianecka, Wojciech Rohatyn Popkiewicz, Stanisław Srokowski, Beata Stragierowicz, Artur Waszkielewicz, Piotr Waszkielewicz, Waldemar Żyszkiewicz. **Skład:** Artur Waszkielewicz.

Wydawca: Instytut Kornela Morawieckiego. **e-mail:** info@prawdajestciekawa.pl; **www.prawdajestciekawa.pl**

Nr konta: 46 1090 2529 0000 0001 5664 1073. **Prosimy o wsparcie:** na cele statutowe

ARTUR WASZKIELEWICZ



Myśleć po *polsku*

■ W sobotę 15 listopada 2025 roku we wrocławskim Ossolineum odbyła się druga konferencja „Myśleć po polsku” poświęcona dziedzictwu Kornela Morawieckiego. Tytuł tej edycji brzmiał: „Duch i charakter Solidarności Walczącej”.



Wydarzenie rozpoczęła Marta Morawiecka. Powitała uczestników, a szczególnie tych, którzy zgodzili się podzielić się swoimi refleksjami i wspomnieniami. Po prezentacji panelistów i krótkim wstępie zawierającym wybrane myśli śp. Kornela Morawieckiego oddała mikrofon Piotrowi Gaglikowi, który poprowadził konferencję.

Jako pierwszy głos zabrał przybyły do nas z Warszawy dyrektor Archiwum Akt Nowych Mariusz Olczak. W wystąpieniu pt. „Zbiory archiwalne SW w zasobie Archiwum Akt Nowych” opowia-

dał także o metodach pracy kierowanej przez siebie instytucji, o sposobach pozyskiwania dokumentów, a także – na przykładzie archiwum Romualda Lazarówicza – o zagrożeniach wynikających także z cyfryzacji. Okazało się bowiem, że części cennych zbiorów nie udało się odzyskać przez to, że zapisane zostały cyfrowo i umieszczone w chmurze.

Od czasu gdy korespondencja przestała mieć formę materialnych listów i zamieniła się w wymianę e-mailową pojawiło się ryzyko utraty przechowywanych danych pozostających w zbiorach



Dyrektor Archiwum Akt Nowych Mariusz Olczak



prywatnych. Również dawne nośniki, takie jak dyskietki czy płyty kompaktowe, okazały się mniej trwałe niż pierwotnie zakładano. Ta sytuacja spowodowała wyrwę w ilości danych możliwych do zarchiwizowania szczególnie w latach dziewięćdziesiątych.

Dyrektor Olczak zwrócił się również do obecnego na sali gospodarza miejsca – dyrektora Łukasza Kamińskiego z propozycją stworzenia we wrocławskim Ossolineum oddzielnego działu poświę-

Ciąg dalszy na str. 4 ►

► conego Kornelowi Morawieckiemu. Dyrektor Kamiński dziękując zażartował, że jest to chyba jedyny przypadek, gdy jeden archiwista odstępuje drugiemu prawo do gromadzenia zbiorów.

Następnie głos zabrał Paweł Falicki, jeden z członków Rady Solidarności Walczącej, bliski współpracownik Kornela Morawieckiego. Rozpoczął od rozdania repliki podziemnej ulotki Solidarności Walczącej zawierającej zarys głównych celów działania organizacji. Odniósł się do aktualności tamtych postulatów. Mówił też o koncepcji filozoficznej Kornela zawartej w jego ostatnim dziele „Kierunek”. Podkreślał swój krytyczny stosunek do tez zawartych w książce, a szcze-



Paweł Falicki

gólnie do koncepcji *onomu* jako nowej formy bytu.

Opowiadał również barwnie o sporach i dyskusjach w kierownictwie Solidarności Walczącej podkreślając niekwestionowany autorytet Kornela Morawieckiego, który zawsze miał ostatnie słowo. Dowiedzieliśmy się również, że Paweł Falicki składał przysięgę Solidarności Walczącej z pominięciem przymiot-

nika *solidarna* po słowie Rzeczpospolita. Na własne życzenie przysięgał walkę dla dobra *Rzeczypospolitej*, a nie *Rzeczypospolitej Solidarnej*. Uważał bowiem, że nie bardzo wiadomo, co to określenie znaczy.

Po dwóch wystąpieniach organizatorzy zarządzili przerwę. Przy kawie, herbacie i ciasteczku można było porozmawiać ze starymi przyjaciółmi i nowoprzybyłymi uczestnikami konferencji.





► Po przerwie nawiązaliśmy bezpośrednie połączenie ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki, skąd mówił do nas Dariusz Olszewski. Odpowiadał na pytania Marty Morawieckiej. Wspominał czasy stanu wojennego i swoje pierwsze spotkanie z Kornelem Morawieckim w konspiracji, gdy złożył przysięgę Solidarności Walczącej. Przedstawił mu wówczas szereg pomysłów na radykalne działania w formie zadym, nękania szczególnie gorliwych funkcjonariuszy SB oraz karania osób z organizacji, które w toku śledztwa ujawniły współpracowników z podziemia. Przywódca SW musiał uspokajać gorącą głowę komandosa, kierując jego energię na żmudny wysiłek organizacyjny z zachowaniem zasad podziemnego BHP. Nasz rozmówca opowiadał również o swoim zaangażowaniu w zbieranie w USA pamiątek po żołnierzach Armii Krajowej i innych we-



Dariusz Olszewski nadaje z Ameryki



Dyrektor Ossolineum Łukasz Kamiński

teranach walk o niepodległość, a także o wyjątkowych postaciach, które stanęły na jego drodze. Byli wśród nich: prof. Kazimierz Sabbat, przedostatni prezydent RP na uchodźstwie, Ryszard Kaczorowski, ostatni prezydent RP na uchodźstwie, Anna Walentynowicz, matka Solidarności, wybitny pisarz i filozof Bohdan Urbankowski oraz szereg weteranów walki o wolną Polskę.

Po zakończeniu rozmowy z Dariuszem Olszewskim o głos poprosił Łukasz Kamiński. Podziękował za udział Mariuszowi Olczakowi i zapowiedział dalszą współpracę między archiwami dla wspólnego celu ocalenia od zapomnienia dziedzictwa zostawianego przez odchodzące pokolenia.

Kolejnym prelegentem był Cezariusz Lesisz – najmłodszy członek Rady So-

Ciąg dalszy na str. 6 ►



Cezariusz Lesisz



► lidarności Walczącej. Wspominał swoje zaangażowanie w działalność SW od świtu do nocy. Przypadek sprawił, że stan wojenny wybuchł, gdy był na urlopie dziekańskim, dzięki czemu mógł knuciu poświęcić się bez reszty. Czarek położył nacisk na etos członków Solidarności Walczącej oraz na to, że mimo rozwiązania organizacji, przysięga nie przestała obowiązywać. Wszyscy

członkowie Solidarności Walczącej nadal powinni angażować się w pracę dla dobra Ojczyzny w duchu roty przysięgi.

Techniczną obsługę wydarzenia zapewnił Mateusz Jerzmański, który obsługiwał kamery, nagłośnienie oraz połączenie internetowe z USA. Zabrał też głos zapowiadając nowe działania Instytutu Kornela Morawieckiego na polu gromadzenia zdigitalizowanych archiwaliów.



Mateusz Jerzmański



Mówi Piotr Gaglik

Na koniec konferencji wywiązała się krótka dyskusja, po której uczestnicy przy akompaniamencie gitary odśpiewali pieśń *Z dawna Polski tyś królową, Maryjo*. Wsluchując się w strofy tej pieśni trudno się dziwić, że cenil ją bardzo przywódca Solidarności Walczącej. „Weź w opiekę naród cały, który żyje dla Twojej chwały, niech rozwija się wspañiały, Maryjo”.

II konferencja „Myśleć po polsku” potwierdziła naszą wolę uczynienia z niej wydarzenia cyklicznego. Okazało się też, że w wystąpieniach i dyskusjach pojawiają się coraz to nowe, interesujące wątki, warte rozwinięcia. Materiału na następną i kolejne konferencje na pewno nie zabraknie.

Ryszard Czarnecki

RYSIE OKO



Katastrofa „Heweliusza” w Niemciami w tle

Uważnie obejrzałem pięcioodcinkowy serial „Heweliusz” wyemitowany przez Netflix. W samym filmie, dobrze zrobionym przez ludzi o historycznych nazwiskach z branży filmowej: reżysera Jana Holoubka (syna Gustawa) i scenarzystę Kaspra Bajona (syna Filipa), choć z jedną fatalną pomyłką w obsadzie aktorskiej (o czym później) – zainteresowały mnie przede wszystkim wątki międzynarodowe.

Gdy przedstawieni jako „szwarczaki” – prezes armatora Navica Ferris (w rzeczywistości była to polska państwowa firma Euro-Africa), odpowiedzialny za sektor wiceminister oraz oficer służb specjalnych – mówią o konkurencji dla rodzimych firm ze strony Niemców, Szwedów i Rosjan to akurat w tej sprawie na sto procent mają rację. Jednak najważniejszy, w wymiarze międzynarodowym, w tej produkcji o największej katastrofie polskiej jednostki pływającej od czasów II wojny światowej jest wątek niemiecki. Warto o nim napisać, bo

szersza publiczność skupi się zapewne bardziej na osobistych losach bohaterów filmu i ich rodzin.

Lista niemieckich grzechów w kontekście dramatu promu „Jan Heweliusz” jest długa. I tak Niemcy nie nadali informacji o przewidywanym huraganie na Bałtyku w języku angielskim, który na morzu, tak jak w powietrzu, jest językiem międzynarodowym.

Strona niemiecka nie podała polskim służbom ratunkowym współrzędnych miejsca katastrofy „Heweliusza”, co uniemożliwiło akcję naszych helikopterów czekających na te dane w bazie w Darłowie, ale także ewentualną misję ratunkową naszego drugiego promu. Dodajmy, że ten drugi polski prom był relatywnie blisko „Heweliusza”.

Część wyłowionych zwłok, ofiar katastrofy ze stycznia 1993 roku była zmiażdżona. To efekt – co z tego, że nieświadomy – działań niemieckiego statku „Kempen”. Jego dowódca i marynarze zorientowali się, że to ich wina, gdy wyłowili jedno z tych zwłok – człowieka, który zmarł nie w wyniku utonięcia czy z powodu wyziębienia organizmu, ale na skutek obrażeń zadanych przez zapewne sрубę okrętową jednostki niemieckiej.

Wreszcie sprawa zrezygnowania przez Niemców z akcji ratowania Polaków. Kapitan niemieckiego statku ratow-

niczego ocenił, że jego statek jest zbyt mały, aby nieść pomoc polskiemu promowi. Uczynił to ku zaskoczeniu własnej załogi, a także swoich władz (kapitanatu) na lądzie. Jednak jego decyzja nie została przez nich zakwestionowana.

Żle przeprowadzona akcja ratunkowa przez niemiecki śmigłowiec spowodowała – przez źle rzucony hak – przewrócenie jednej z dwóch łodzi ratunkowych i śmierć znajdujących się tam rozbitków.

Wreszcie zapewne decydujący o katastrofie manewr „Heweliusza”, który chcąc uniknąć kolizji z niemieckim trawlerem wykonał bardzo ryzykowny i jak się okazało ostatni manewr.

Oczywiście każda katastrofa, morska czy lotnicza jest efektem wielu przyczyn. Warto jednak wiedzieć o tych powodach tragedii sprzed 32 lat, które leżały nie po stronie Polaków, tylko Niemców.

Na koniec obiecałem wcześniej wskazanie błędów przy obsadzie. Skoro dzielnego kapitana promu Andrzeja Ulasiewicza niesłusznie oskarżano, że był nietrzeźwy podczas rejsu, to powierzenie roli zagrania właśnie jego aktorowi, który przez lata był alkohikiem, a potem z tego strasznego nałogu miał wyjść, czyli Borysowi Szycowi, mimowolnie może stworzyć wrażenie dokładnie odwrotne do zamierzonego oraz do prawdy historycznej. A na to pamięć o polskim kapitanie nie zasługuje.



Na tle map

PROF. DOROTA HECK



■ Wydawałoby się, że o męce Polaków z Kresów wiadomo już wszystko. Prace naukowe i teksty literackie, choć niepromowane w wielkich mediach, trafiają do zainteresowanych czytelników. Co można dodać? Osobiste, niepowtarzalne świadectwo matki filozofa, Jana Krasickiego, Stefanii Krasickiej (1927-2014), kobiety, która w wieku dwunastu lat była świadkiem wybuchu straszliwej drugiej wojny światowej.

Zapowiedź towarzyszącego jej ludo-bójstwa – to łuna, którą jako dziewczynka obserwowała podczas pracy w polu latem 1939 roku. Nastolatka bywała lekkomyślna, znajdowała się niepotrzebnie w niebezpiecznych okolicznościach, ale ostatecznie uciekała się do modlitwy i przebiegłości, refleksu i własnej sprawności fizycznej. Wraz z rodziną musiała opuścić podolskie okolice, do których była od dziecka przywiązana emocjonalnie. Trafiła na opolsko-wrocławskie pogranicze województw, pod Brzeg, założyła rodzinę, spoczęła na miejscowym cmentarzu.

Zaprezentowany na tle znakomicie wydrukowanych map, lapidarny tekst wspomnień obejmuje kluczowe momenty dramatycznych lat wojny i rzezi ludności cywilnej na wschodzie, skupia się na ukraińskich morderstwach ze szczególnym okrucieństwem, dokonywanych na Polakach. Rozwinięte dziś badania nad literaturą dokumentu osobistego wynikały z bogactwa materiału, który został po XX wieku – stuleciu totalitaryzmów i ludo-bójstwa. Jasno i bardzo zwięźle przedstawiona faktografia wywiera wstrząsające wrażenie. Nie do pojęcia są sceny wabienia za dnia polskich kobiet, mężczyzn i dzieci przez ukraińskich sąsiadów, tylko po to, aby w nocy „bandery” dokonały straszliwej masakry.

Wspomnienia zostały uzupełnione trzema komentarzami. Dwa z nich pochodzą od syna autorki, a trzeci jest refleksją filologa polskiego, znawcy krytyki archetypowej, Zbigniewa Bitki. Jan Krasicki skupił się na biograficznych, geograficznych, historycznych i nawet filozoficznych kontekstach losów jego matki, podczas gdy polonista zanalizował symbolikę, psychoanalityczne asocjacje i głębokie sensy motywów uwzględnionych w tekście Stefanii Krasickiej. Szczególnie inspirująca jest uwaga Krasickiego, że filozofowanie zaczyna się od pytania o genezę, początek, czyli o *arché*. Mimo że czytamy faktograficzną narrację niewykształconej dziewczyny, erudycyjne treści nie rażą, lecz przeciwnie – ukazują jedność kultury. Okazuje się, że wo-



bec doświadczeń gwałtownej modernizacji stylu życia jednego czy dwóch pokoleń, adekwatny w rodzinach przesiedlonych kresowian jest cytat z listu Rainera Marii Rilkego do polskiego poety, Witolda Hulewicza: „Jeszcze dla naszych dziadków dom, studnia, znajoma im wieża, nawet ich własna suknia, ich płaszczy były nieskończenie czymś więcej, czymś znaczącym, nieskończenie bliższym; prawie każda rzecz była naszym, w którym widzieli coś ludzkiego i coś ludzkiego dodawali” (cyt. s. 16 omawianej książki).

Znane z rodzinnych opowieści obrazy – to ten fragment relacji pani Stefanii: „Stożki zboża stały na podwórzu. Nocą spaliśmy pod stożkami, ale czuwaliliśmy” (s. 40). W przekazywanych z pokolenia na pokolenie, z ust do ust zachowało się to ukrywanie w stogach. Dziś pewnie trzeba to wyjaśniać, upewniać się, jak mogły one wyglądać, gdy co roku obserwujemy pracę kombajnów i bele siana. Sceneria sprzed niemal stulecia, ubóstwo, a zarazem wysokie standardy moralne, oczywiste dla ówczesnej pol-

skiej dziewczyny, mogą dziwić zwolenników konsumpcjonizmu. W innych realiach funkcjonujemy na co dzień.

Czytając koncyliacyjne komentarze Jana Krasickiego, myśli się z pewnym żalem o silnej polaryzacji dzisiejszej debaty politycznej. Dlaczego tak trudno uzyskać zrozumienie dla ogólnoludzkiego współczucia i solidarności? Ilekroć spotykam kogoś z Ukrainy, mam odruch sympatii, ponieważ uosabia przedwojenny, utracony świat o ileż bardziej uporządkowany i przyjazny niż powojenny system. Tymczasem uprzedzenia i wyolbrzymianie polskich błędów nie sprzyjają pogłębieniu się i utrwalaniu przyjaźni. Wykształceni, obcy z przekazem wielkich mass mediów, Polacy mają silnie utrwalony odruch samooskarżania się za winy swojego narodu. Z jednej strony przekora i automatyczna nieufność paradoksalnie ułatwiają manipulację nastrojami. Z drugiej jednak strony pycha, czyli zadufanie, przyjmowanie za pewnik swojej intelektualnej wyższości też odbiera szansę na precyzyjne rozumienie złożonych relacji międzyludzkich i międzynarodowych.

Nasze rozmowy na tematy polityczne są podszyte nieszczerością, bo już zbyt wiele sztucznie wykreowanych wpływów krąży w naszej tkance społecznej. Co gorsza rozpowszechnione systemy podejrzeń: marksizm lub psychoanaliza utrudniają adekwatny odbiór prawdziwej analizy rzeczywistości. Jak je przełamać, gdy zarzuty naiwności, anachronizmu lub po prostu niskiego ilorazu inteligencji działają paraliżująco – skutecznie jak brutalny szantaż.

Doskonałym antidotum na zafałszowanie jest książka Stefanii Krasickiej i Jana Krasickiego jako dwugłos – wypowiadającej się bezpośrednio uczestniczki wydarzeń historycznych wieku XX oraz refleksyjnego filozofa XXI wieku.

Stefania Krasicka, Jan Krasicki, *Tyle razy miałam nie żyć. Kresy Wschodnie utracony Raj*, Oficyna Wydawnicza Akwedukt, Wrocław 2025, ss. 80.

Walczyć o **solidarność** między ludźmi i narodami



DR MAREK OKTABA

Dyrektor zarządzający PUNCS
(Powszechny Uniwersytet Nauczania
Chrześcijańsko-Społecznego im. Jana
Pawła II i Roberta Schumana)

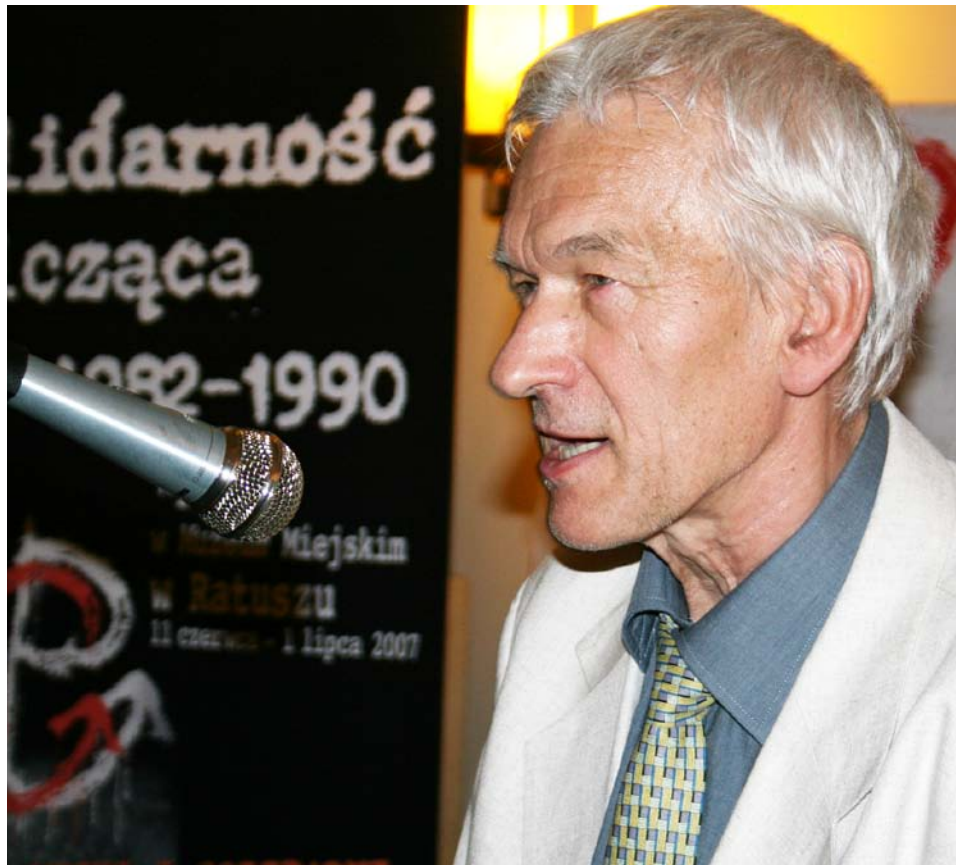
■ Rozterki dzisiejszej Europy w dużym stopniu sprowadzają się do wątpliwości tych, którzy wyprzedali własną wolność w zamian za obiecane sukces i bezpieczeństwo, a teraz te obietnice okazują się być błagą. Jednak nie dla wszystkich jest jasne, o co mamy się starać w zamian. W odruchu serca nie zgadzamy się na promowanie dawnej mentalności, niegdyś opisaną w słowach piosenki Kazimierza Grześkowiaka: bo nie ważne, czyje co je, ważne to je, co je moje.

Pośród rozmaitych rozterek warto przypomnieć sobie pochodzący z roku 1982 tekst roty przysięgi Solidarności Walczącej: „Wobec Boga i Ojczyzny przysięgam walczyć o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą Solidarną, poświęcać swe siły, czas – a jeśli zajdzie potrzeba – swe życie dla zbudowania takiej Polski. Przysięgam walczyć o solidarność między ludźmi i narodami”.

Adam Mickiewicz pisał: bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy. Rozpowszechniło się po naszym kontynencie wypełnione trwożliwością udawanie życia, bez wierności głosowi własnego serca. Rok temu papież Franciszek wydał encyklikę o tytule „Dilexit nos”, właśnie o sercu. Nasz obecny Ojciec Święty tytułem swej adhortacji wydanej 3 października 2025 nawiązuje do tamtego dokumentu poprzednika. Jest u Franciszka bardzo ciekawy fragment dotyczący serca i sztucznej inteligencji – próbka tego, jak treści na pozór techniczne zająbiają się z treściami duchowymi. A oto wspomniany fragment encykliki „Dilexit nos” (n. 20):

„W erze sztucznej inteligencji nie możemy zapominać, że do ocalenia człowieczeństwa niezbędne są poezja i miłość. To, czego żaden algorytm nigdy nie będzie mógł pomieścić, to na przykład, ten moment z dzieciństwa, który pamięta się z czułością i który, mimo upływu lat, wciąż się powtarza w każdym zakątku planety. (...) Wszystkie te drobne szczegóły, zwykłe-niezwykłe, nigdy nie będą mogły znaleźć się wśród algorytmów. Ponieważ widelec, żarty, okno, piłka, pudełko po butach, książka, ptak, kwiat... polegają na czułości, którą się zachowuje w pamięci serca”.

My wszyscy mamy być ludźmi z sercami – w biblijnym rozumieniu tego rzeczownika. Nie możemy być konformistami, biernie dopasowującymi się do tego, jak nami miotają prądy. Nie mamy spe-



cializować się w stosowaniu uników, nie biorąc na siebie żadnej odpowiedzialności. Mamy być ludźmi z sercem. Takich sztuczna inteligencja nigdy nie zdoła zhakować, ani prześwietlić po to, by potem nimi skutecznie manipulować.

Całkiem niedawno, 23 października 2025, polski publicysta i były polityk, Jan Rokita, w swoim blogu komentował fakt, że podczas międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie przeważali zarówno licznie jak i jakościowo pianiści z Azji. Rozważania, dlaczego Azjaci są lepsi od Europejczyków, zakończyły się następującą konkluzją: wartości szczególne cenione

przez Chińczyków i przez państwo chińskie – niezależnie od tego, jak bardzo to państwo nie byłoby opresyjne – to są rzeczy u nas wyklęte, zakazane, deptane, niszczone. A są to: rygorystyczne wychowanie, dyscyplina, szacunek dla starszych. Szkoła i uniwersytety w Azji są miejscem rywalizacji najlepszych ludzi. Tam wygrywają nie tylko ci, którzy są wybitni, ale też ci, którzy są pracowici. Natomiast w Europie szkoła jest opętana rozmaitymi ideologiami, które pod osłoną praw dziecka *de facto* polegają na tym, że równamy do najgłupszych i najbardziej leniwych. Wzywa się młodych, by koncentrowali się na wła- ▶



► snych emocjach, co rzekomo ma z nich czynić lepszych ludzi.

Następnego dnia, to jest 24 października, podczas praskiej konferencji organizowanej przez czeskie stowarzyszenie Patrimonium Sancti Adalberti, nagrodę św. Wojciecha odebrał polski filozof i polityk Ryszard Legutko. Jedną z jego książek nosi tytuł „Triumf człowieka pospolitego” i opisuje, jak dominujący na Zachodzie progresywizm tworzy takiego właśnie człowieka: pospolitego, słabego, wymarzonego z punktu widzenia tego, by nim manipulować i zarządzać w ramach zachodnich ciągotek centralizacyjnych. Taki człowiek nie będzie oczywiście zwyciężać podczas międzynarodowych konkursów pianistycznych. Na żadnym polu światowej rywalizacji nie będzie zwyciężać.

Czy zatem Europa jest nieuchronnie skazana na porażkę? Być może tak, choć daje się zauważyć nadchodzącą zmianę społeczną, w ramach której coraz większą popularność zyskują ruchy i ugrupowania odwołujące się do wolności.

Dzisiejsza Europa potrzebuje, by odradzały się ludzkie i społeczne dążenia do wolności, bo tylko wolny staje się odpowiedzialny za swą przyszłość i jest zdolny do wysiłku na miarę zagrażającym nam wyzwaniom. Jednak źle rozumiana i źle organizowana wolność może rodzić spore kłopoty.

Ludzki rozwój od stanu dziecięctwa to starania, by osiągnąć niezależność. Jednak dążenie do niezależności czasem doprowadza do dziwnych sytuacji. Skoro człowiek ma być niezależny, to ci, którzy na starość stają się zależni od pomocy innych, są przeznaczani do eutanazji. Dla niektórych ludzi dowodem na ich niezależność staje się prawo do tego, by samemu decydować o tym, jaką chce się mieć płęć. Z kolei w gospodarce promowana jest niezależność od norm etycznych, które rzekomo krępują rozwój. Przy tym zauważmy, jak w ramach owego rozwoju rośnie uzależnienie większości rynku od dyktatu ze strony najsilniejszych. Warto też wspomnieć, że przemożne dążenie do niezależności rodzi postawy roszczeniowe, gdzie nie pamięta się o obowiązkach obywatelskich, zaś jedynie domaga realizacji swych własnych praw.

Jest sztuką połączyć dwie na pozór sprzeczne wartości: indywidualną wolność oraz dobro wspólne. Niełatwo zrozumieć, że stają się wolni nie po to, aby jak najwięcej zagarnąć dla indywidualnej korzyści, ale po to, by umieć być skutecznym w realizowaniu własnego talentu, własnego powołania.

Człowiek w swym czynie ma spełniać siebie, jak na to wskazywał kardynał Karol Wojtyła w książce „Os-



Prof. Ryszard Legutko

ba i czyn”. Nie tyle spełniać własne zachcianki, co raczej własne powołanie. Wolność oznacza więc wolność do czynienia dobra. Jeśli ktoś ma ograniczoną wolność na skutek uzależnienia, to choćby miał szczere intencje, nie potrafi ich realizować – brakuje mu wolności do czynienia dobra. Należy dążyć ku wolności po to, by bardziej przydawać się innym w swoim najlepiej rozumianym interesie. I wówczas indywidualna wolność zająć się z troską o dobro wspólne.

Człowiek swą wolność może wykorzystywać tak na rzecz dobra, jak i zła. Istnieją pewne sytuacje czy wręcz struktury grzechu, kiedy otoczenie popycha człowieka ku złu. W zdrowej gospodarce i w zdrowym społeczeństwie obok rywalizacji musi następować współpraca, bo bez niej wszyscy tracą, zwłaszcza długoterminowo. W krótkim horyzoncie czasowym można cieszyć się z zysku zdobytego w sposób nieprawy, jednak zazwyczaj ten zysk trzeba oddać komuś jeszcze silniejszemu. To nie jest dobre rozwiązanie na trwałość gospodarczą, społeczną i polityczną oraz zagwarantowanie bezpiecznej przyszłości swym wnukom.

Tutaj możemy ponownie przywołać postać Kornela Morawieckiego, który założył w stanie wojennym Solidarność Walcząca. On wiedział, o jaką przyszłość walczyć i po co zdobywać wolność. Ukrywając się udzielił w 1986 roku wywiadu emigracyjnemu kwartalnikowi „Libertas”. Mówił: „Walczymy o wolność przy pomocy ramek i powielaczy. We wrześniu 1983 roku pisaliśmy: nie chcemy porozumienia z władzą z obcego nadania, chcemy tę władzę pozbawić władzy. Nie ulega kwestii, że komunizm jest systemem zbrodniczym i nie-

wygodnym, że jego lata są policzone. Ten system upadnie i to tym prędzej, im prędzej ludzie w nim żyjący dojrzą i wybiorą jego alternatywę. Ekonomiczne, polityczne czy kulturalne osiągnięcia społeczeństw zależą nie tyle od rywalizacji ludzi, ile od ich współdziałania”.

Z kolei w przemówieniu w roli Marszałka Seniora inauguracyjnego Sejmu VIII kadencji 12 listopada 2015 roku powiedział: „Żyjemy nie tylko dla siebie, żyjemy i umieramy dla innych. My razem jesteśmy ważniejsi niż każdy z osobna. Ponad nami są wartości: dobro i prawda, wolność i sprawiedliwość”.

Do czego zatem jest nam potrzebna wolność? Aby walczyć o solidarność między ludźmi i narodami.

Utarło się myśleć, że ustrojowo mamy tylko jedną alternatywę: ograniczanie czy wręcz deptanie ludzkiej wolności w ramach komunizmu, czy innego totalizmu, albo pełne folgowanie wolności pozwalające dać upust egoizmowi oraz chciwości. Tymczasem jest i trzecia propozycja opisywana w myśli chrześcijańsko-społecznej, gdzie indywidualna wolność zająć się z troską o dobro wspólne. Historycznym przykładem był rozwijany po II wojnie światowej ordoliberalizm Ludwika Erhardta, z jego adaptacją polityczną środowiska Konrada Adenauera i Roberta Schumana. W Polsce mamy to nawet wpisane do polskiej konstytucji. W paragrafie 20. czytamy, iż polskim ustrojem gospodarczym jest społeczna gospodarka rynkowa. Niestety brakuje popularyzowania i rozwijania tej idei na uniwersytetach, próżno też szukać jej rzeczników w kręgach społecznych czy biznesowych.

Na człowieka trzeba patrzeć nie z perspektywy problemu, lecz jego rozwiązywania. Tak na człowieka patrzy Bóg. Z niewiarygodną cierpliwością towarzyszy człowiekowi w realizacji historii zbawienia, bo jej szczęśliwy koniec oznacza budowę nowej ziemi. Dopóki człowiek pozostaje stary, wedle tego jak to opisuje św. Paweł, tak długo wprowadza on ogromne zamieszanie, tak do ludzkiego życia, jak i świata przyrody, niszcząc i degradując wszystko wokół. Ci, którzy o sobie z dumą mawiają, że są „realistami”, twierdzą, że inaczej się nie da. A jeśli ktoś spodziewa się po człowieku czegokolwiek więcej niż tylko egoizmu i chciwości, ten ponoć jest naiwnym pięknoduchem i głupim romantykiem. Ja sam jednak mam nadzieję, że „realiści” się mylą, zaś wzrastanie nowego człowieka, jak to opisuje św. Paweł, jest wykonane. Nowy człowiek swoją ogromną siłą solidarności oraz innowacyjności poradzi sobie z wszelkimi wyzwaniami i problemami naszego świata. Człowiek z sercem.

Niepodległość 2025

KS. DR HAB.
TOMASZ
BŁASZCZYK



„Spojrzał Bóg na ucisk swojego ludu w niewoli, wysłuchał jego jęczenia, zlitował się i stanął po naszej stronie, aby skruszył nieznosne nam więzy i oddał nam wolną, niezależną i zjednoczoną ziemię ojców naszych”. To słowa kard. Aleksandra Kakowskiego, który nazajutrz po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku pisał w swoim liście do wiernych. Trudno byłoby zrozumieć to wydarzenie jedynie w kategoriach zwykłej historycznej przyczynowości.



Ten akt sprawiedliwości dziejowej był skutkiem nie tylko sprzyjającej sytuacji politycznej, ale przede wszystkim owocem zmagania się całego narodu o zachowanie tożsamości i duchowej wolności przez całe dziesięciolecie niewoli. Był owocem dążenia do posiadania suwerennego państwa, które dla Polaków istniało jedynie w marzeniach, przekazach rodzinnych i w modlitwie.

W okresie niewoli wielu podejmowało trud przymusowej emigracji, wielu ginęło przelewając krew w kolejnych powstaniach, walcząc w obcych armiach i na różnych wojennych frontach. Ale też wielu naszych rodaków poświęcało sprawie odzyskania niepodległości swoje talenty, poświęcało swoje siły i wytrzymałość pracą. Wspomnieć wypada ludzi polskiej kultury: pisarzy, poetów, malarzy, muzyków. Tych, którzy pisali ku pokrzepieniu serc i tych, którzy poprzez wizualizację przypominali wspaniałe dzieje

naszego narodu, ale także tych, których dźwięki muzyki rozbudzały wyobraźnię tęsknoty za utraconym narodowym dobrem – Ojczyzną.

I przyszła wolność, która stała się darem i błogosławieństwem, która stała się błogosławionym darem i radością Narodu. To symboliczna data 11 listopada 1918 roku. To w tym dniu Rada Regencyjna przekazała Józefowi Piłsudskiemu władzę nad wojskiem, a trzy dni później władzę cywilną. To on miał za zadanie scalić to, co przez ponad wiek naszej mrocznej historii przez zaborców zostało podzielone. Scalić polskie życie na polskich ziemiach, odzyskać dawny blask Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i przywrócić Polakom i Polsce właściwe miejsce w Europie i świecie.

Ale wróg nie śpi i podstępnie działa. Dwa lata po odzyskaniu przez Polskę niepodległości pozwolił sobie na szarżę ideologiczną poprzez zbrojny

atak, by zrealizować plan wciąż żywy we współczesnej myśli politycznej Rosji i akceptowany przez obecne elity europejskie, ogniskujący się wokół niedawnego stwierdzenia Miedwiediewa „komunizm od Władystoku po Lizbonę”. To, co w latach dwudziestych ubiegłego wieku wydawało się bolszewicką mrzonką wręcz utopią powstrzymaną przez Polaków w Cudzie nad Wisłą, to dzisiaj – z usilną akceptacją struktur unijnych, zdominowaną według lewackiej zasady marsz przez instytucje – realizowane jest w formule niszczenia europejskiej cywilizacji chrześcijańskiej.

Dzisiaj w imię nowoczesności wprowadza się cywilizację śmierci, przed którą przestrzegał św. Jan Paweł II. Dawniej przez polski dom nie mogła przejść myśl o unicestwieniu życia ludzkiego w imię wolności kobiet, a tym bardziej o braku szacunku dla osób starszych, by wykluczać ich ze społeczności ro- ▶



► dzinnej poprzez eutanazję. Dzisiaj odpowiednie ustawodawstwo daje taką możliwość w niektórych państwach. Ale to nie jest nowoczesność. To jest czysty doktrynalny bolszewizm. Bolszewizmem jest oddawanie głosów na tych, którzy tak myślą a chcą nas reprezentować w polityce. Progu polskiego domu nie mógł przekroczyć ten, kto jawnie opowiadał się po stronie zaborców, po stronie wrogów Polski i przyjmując ich doktrynę polityczną usłużny im był, bo traktował polskość jako nienormalność. Tak nie mógł przekroczyć progu polskiego domu, chyba że gwałtem.

Przeżyliśmy dwa totalitaryzmy: niemiecki hitleryzm i sowiecki komunizm. Daliśmy sobie radę z nimi, choć przelało się wiele polskiej krwi. Polaków można uśpić, ale nie można odebrać im wolności, bo ten gen głęboko zakorzeniony jest w naszym narodowym życiu.

Pokonałszy okowy hitlerizmu, zrzuciliśmy kajdany komunizmu a wciąż mamy zdrajców Ojczyzny, którzy wro-

clawski Most Grunwaldzki chcą zmienić na niemiecką nazwę, a w Sali Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego ponownie powiesić portret pruskiego cesarza, choć przy jej powstawaniu zawisł na krótko portret austriackiego cesarza Leopolda. Zakłamywanie historii, w tym polskiej historii. A czemu ma służyć ograniczanie w szkołach godzin lekcji historii? Demokracji? Liberalnej demokracji, która bez wartości chce zająć miejsce Boga i o wszystkim, i za wszystkich decydować? Wtedy to nie jest demokracja. Walczącej demokracji? Ta z kolei jest mutantem współczesnego totalitaryzmu.

Uderzanie w tradycyjny model rodziny, zniekształcanie obrazu małżeństwa poprzez tworzenie modelu związków jednopłciowych. Nowoczesność? To ideologiczny obłąd.

Ośmieszanie postaw patriotycznych w imię budowania uniwersalnego państwa pod egidą jednego tylko narodu. Rasę panów przeżywalismy w czasie II

wojny światowej i tej lekcji z historii nie chcemy powtarzać.

O jaką Polskę dzisiaj walczymy, o jaką Polskę dzisiaj zabiegamy? Lecz ceważąc przeszłe dzieje naszej Ojczyzny i Narodu, w terażniejszości depcząc wszelkie zasady wynikające z tradycji i naszej kultury, w przyszłości możemy stracić wszelkie prawa do samostanowienia. Nie pozwólmy ponownie zniewolić naszych umysłów.

Poeta pisał: Święta miłości kochanej Ojczyzny, czują Cię tylko umysły poczciwe...

Oby tych umysłów poczciwych, które kochają Ojczyznę i dla niej się poświęcają nie brakowało i dzisiaj.

Dlatego wdzięczni minionym pokoleniom za wywalczoną wolność pamiętamy i o nich, o ich patriotycznych zrywach, o ich tułaczce emigracyjnej i o Niepodległej. Niech trwa. A Bóg Polsce i Polakom niech błogosławi. Amen.

Historia jako historia rodzinna



■ Kończy się niebawem listopad a smętek pogody mrocznej i wilgotnej nasuwa nam wspomnienia dawnych lat i ludzi. Mamy więc wielkie święto Wszystkich Świętych, ale i Dzień Zaduszny.

PROF. ZBIGNIEW
MAKAREWICZ

Wczoraj, siedemnastego listopada dwutysięcznego dwudziestego piątego roku, dzięki Zakładowi Narodowemu Ossolińskich oraz Stowarzyszeniu Potomków Sejmu Wielkiego miałem okazję uczestniczyć we Wrocławiu w spotkaniu z panem Adamem Zamoyskim. Prowadził je dr Robert Kostro. Adam Zamoyski jest historykiem, autorem książek, wydawanych w oryginalnej angielskiej wersji językowej oraz artykułów, wykładów i wywiadów, zwykle ukazujących się w Londynie. Pisarstwo to skupia się przeważnie na historii lat końca wieku XVIII i części wieku XIX. Zainteresowania autora obejmują przede wszystkim postaci reprezentujące ducha epoki romantycznego przełomu z tzw. Oświecenia ku rewolucyjnym latom tzw. Wiosny Ludów – pierwszej połowy „stulecia nowoczesności”, których dziedzictwo ideowe i nas w pierwszej połowie XXI stulecia gnębi.

„Izabela. Opowieść o niezłomnej księżnej”, „Ostatni król Polski”, „Chopin. Artysta. Człowiek”, a jako specyficzny kontrapunkt także „Paderewski” – biografia genialnego muzyka i męża stanu, który „wygrał Polskę na fortepia-



Stanisław Makarewicz stoi pierwszy z prawej, Wołkowysk 3 PSK, 1922

nie”. Jest też triada bardziej osobista: „Polska. Opowieść o dziejach niezwykłego narodu”, „Warszawa 1920. Nieudany podbój Europy. Klęska Lenina” i „Orły nad Europą. Losy polskich lotników w czasie drugiej wojny światowej”.

Są to bardzo osobiste opowieści kosmopolity urodzonego w 1949 roku w Nowym Jorku, brytyjskiego historyka po studiach w Oksfordzie i po prostu...

Ciąg dalszy na str. 12 ►



Adam Zamoyski, pierwszy z lewej

► polskiego patrioty. Przez rodzinę matki Elżbiety Czartoryskiej, z domu związanego z europejskimi domami panującymi i niepanującymi, jeśli prawdą jest pochodzenie Czartoryskich od Gedymina – twórcy Wialikaho Hosudarstwa Litouskaho. A przez jego następców Olgierdowiczów ze wszystkimi domami Europy (po kądzieli, przez siedem córek króla Kazimierza Jagiellończyka). O znaczeniu Zamoyskich w historii Polski wiemy wszystko. Pisarstwo dalekiego wnuka Jana Zamoyskiego, Hetmana Wielkiego Królestwa Polskiego, jest godnym pomnikiem znakomitego rodu. Tak jak cacko renesansu i niezdojta twierdza – Zamość, miasto idealne.

Może więc pan Adam Zamoyski z innej nieco perspektywy niż mieszczańscy zachodnioeuropejscy historycy patrzeć na epokę napoleońską („1815. Upadek Napoleona i Kongres Wiedeński”) czy na rewolucje wywracające europejski ład – jeśli czasem zdołano go utrzymać („Urojone widmo rewolucji”, „Święte szaleństwo. Romantycy, patrioci, rewolucjoniści”).

Listopad „niebezpieczna dla Polaków pora” – jak mawiał poeta.

Cofnijmy się nieco w czasie. Siódmego listopada br. schodząc z pracowni przy ulicy Malarskiej wstąpiłem na bruk uliczki Stare Jatkki, gdzie od lat niepamiętnych (1978) mamy zagłębie plastyków, poczynając od siedziby Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Wrocławskiego (ul. Kiełbaśnicza), po sklepiki z wszelkimi narzędziami i materiałami oraz galeryjki malarstwa, rzeźby, ceramiki, szkła i grafiki. Od ulicy Odrzańskiej kończy ten ciąg Pomnik Zwierząt Rzeźnych – jedyny w Europie i chyba jedyny na świecie.

Obok tych figur z brązu mamy pamiętkę po inicjatywie Eugeniusza Geta-Stankiewicza (ur. 1942, Oszmiana, zm. 2011, Wrocław) i Galerii x (iks) ZPAP z 1979 roku. Od lat dziewięćdziesiątych za złoczoną kratą jest tam „Marmurowa Tabliczka Czci Prostych Działań 1+1=2”. Swego czasu jedyna prawdziwa informacja dostępna publicznie.

Po zapadnięciu zmroku, jak od lat, weszliśmy na „Misterium Zaduszkowe”, na miejsce zadumy i pamięci o zmarłych artystach plastykach i w ogóle ludziach kultury Wrocławia i Dolnego Śląska. Powitał nas, zgodnie z tradycją rozpoczętą w 1994 roku przez Piotra Wieczorka, obecny prezes Okręgu ZPAP prof. Kazimierz Pawlak. Tym razem wyświetlanie portretowych wizerunków zmarłych artystów uzupełniono wywieszeniem ich fotografii na długich pasmach płótna dzielących przestrzeń ulicy na mikro kapliczki. Pomędzy nimi otwarto przejście między kamieniczkami na ulicę Malarską – oczyszczone i wybielone ze światełkami zniczy ustawionych wzdłuż ścian tego wąskiego korytarza.

Wieczór wspomnień zakończyło spotkanie przy kawie w kawiarence „na Jatkach”. Poniekąd było to dzień po spotkaniu Oddziału Dolnośląskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a jeszcze dzień przedtem byłem na modlitwie wypominkowej w kościele św. św. Stanisława, Doroty i Wacława w intencji spokoju dusz śp. Basi Kozłowskiej (malerki, mojej żony) i moich rodziców ►



► Stanisława i Stanisławy (z Leszczyńskich). Groby rodziców odwiedziłem wcześniej w Koszalinie, przy okazji obchodów 80-lecia mojego Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Dubois.

Na koszalińskim cmentarzu spoczywają też koleżanki, koledzy i nauczyciele ze szkoły i z naszego Teatru Eksperymentalnego. Zostawiłem kwiatki przy tabliczce z nazwiskiem Ireny Siedleckiej (z domu Zubkow), czyli Ewy w grotesce Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Gdyby Adam był Polakiem” (1958).

W dzień Zadzuszny, we Wrocławiu na cmentarzu w Kielczowie, odwiedziłem groby Basi i mojego kolegi Andrzeja Lachowicza – fotografika, plastyka i tak jak ja – Wilnianina. Przepraszam – nie Wilnianina przecież, ale Wilniuka. Byliśmy bowiem, nie my jedni, zawsze obywatelami Wielkiego Xięstwa Litewskiego...

Bo najważniejsza jest tradycja!

Imię patrona katedry wileńskiej, świętego Stanisława biskupa i męczennika, towarzyszy mi ze wszystkich stron, bo i moim ojcem chrzestnym był Stanisław (Orłowski, świeć Panie nad jego duszą), bliżsi i dalsi krewni oraz przyjaciele i dobrodzieje. Ale groby dziadków nie przetrwały – prócz babci Rozalii Makarewiczowej (z domu Sławoniewskiej). Spoczywa w Jurgiszkach. W Jurgiszkach jest mały cmentarzyk na wzgórku z pięknym



Mysterium Zaduszkowe 2025 na wrocławskich Jatkach

widokiem na pola, łąki i lasy. To niewielka miejscowość w Puszczy Rudnickiej na Litwie. Leży tam mój kuzyn Henryk Makarewicz, z którym spędziłem szczęśliwe lata dzieciństwa. Szczęśliwe, mimo wojny, która nie ośmielała się niepokoić Jurgiszek.

W tych puszczańskich okolicach byliśmy pod strażą Wojska Polskiego – Ar-

mii Krajowej. Tak po prostu, pod opieką mojego ojca, Stanisława. Swego czasu rotmistrza 3. Pułku Strzelców Konnych w Wołkowysku. Ten pułk był ostatnią jednostką polskiego wojska, która złożyła broń – 19 października 1939 roku. Wieczne odpoczywanie....

Wrocław, 18 listopada 2025

„Trzeba starać się o prawdę, chociażby nawet przykrą”



ANDRZEJ
MANASTERSKI

■ Weredyk – osoba, która mówi prawdę wprost, bez owijania w bawełnę, nazywając rzeczy po imieniu, często w sposób bezkompromisowy. Mówiąc krótko – prosto w oczy.

Takim weredykiem okazał się być, co dla wielu było sporym zaskoczeniem, prof. Władysław Czapliński, historyk, zajmujący się badaniami dziejów nowożytnych Polski i Danii, nauczyciel i wykładowca w Instytucie Historii Uniwersytetu Wrocławskiego.

Jego „Dziennik 1958-1981” to zapis osoby, która okazuje się być nie tylko sumiennym historykiem badającym wydarzenia sięgające odległych czasów, ale i sprawnym obserwatorem dnia bieżącego. Nie mogło być inaczej, bowiem prof. Czapliński był studentem u prof. Władysława Konopczyńskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, pod kierun-

kiem którego przygotował i obronił pracę doktorską.

Doktorat otworzył drogę naukową przyszłego badacza Uniwersytetu Wrocławskiego. Profesor Czapliński nie do końca poszedł w ślady swego Mistrza, który w Polsce międzywojennej angażował się w działalność polityczną, będąc posłem i kadencją z ramienia Związku Ludowo-Narodowego. Czapliński nie podejmował politycznej działalności, ale udzielał się w pracach *sensu stricte* naukowych, min. we Wrocławskim Towarzystwie Naukowym jako przewodniczący w Międzynarodowej Komisji do Historii Mórz Północnych Europy, jako członek

Królewskiej Akademii Nauk z siedzibą w Kopenhadze i członek Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Wszędzie tam dał się poznać jako solidny i sumienny badacz. Przy tym, krytyczny wobec ustalonych poglądów, faktów i przyjętych prawd. Nawet takich, które dotyczyły jego samego – w jednym z wpisów w „Dzienniku” pisze o sobie, jako „sra-kotłuku”, który jest zbyt dufny w swojej profesorskiej tytułaturze.

Pisał: „Trzeba starać się o prawdę, chociażby nawet przykrą”. Tej maksymie okazał się być wierny, tak w pracach

Ciąg dalszy na str. 14 ►

► naukowych, jak w ocenie dnia dzisiejszego.

Surowa ocena środowiska naukowego Wrocławia może niektórych razić. Profesor zdawał sobie z tego sprawę, dlatego podjął decyzję, by dziennik ukazał się dopiero 20 lat po jego śmierci. W rzeczywistości publikacja czekała ponad 40 lat od śmierci Profesora, co i tak dla niektórych może wiązać się z „niezłym smrodkiem”. No bo jak można podważać publicznie tzw. „autorytety naukowe czy moralne” występujące dotąd w przestrzeni publicznej wyłącznie w superlatywach? „Toż to szok!” – jak mówił Pawlak w filmie „Kochaj albo rzuć” – na wieść, że jego brat ma córkę z ciemnoskórą dziewczyną.

Dla mnie swoistym szokiem była ocena Profesora wobec niektórych badaczy, z którymi osobiście miałem styczność na studiach. „Naukowe zero”, „intelektualne dno” i inne tego typu zwroty podaje Profesor wobec niektórych, którzy swoje awanse zawdzięczali układowi i stosunkom w partii komunistycznej. Przy okazji nie wszyscy, którzy byli w PZPR, okazali się „nieukami”, zawdzięczającymi swoje stanowiska tylko przynależności partyjnej. Uczniem Czaplińskiego był m.in. Jarema Maciszewski, poseł i działacz centralnych władz PZPR, o którym Profesor wypowiadał się nader pozytywnie, oczywiście ocena dotyczyła kwestii stricte naukowych. Maciszewski sporo publikował prac naukowych, Profesor z uwagą je studiował i oceniał pod kątem wartości badawczej. Pod tym względem starał się zachować jak najlepiej obiektywizm. Ale kiedy w połowie dekady Edwarda Gierka zapadła decyzja, by prezydentowi Czechosłowacji Gustawowi Husakowi nadać tytuł honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego, Czapliński pisał o degrengoladzie wrocławskiej uczelni. Jak się zresztą okazało, ostatecznie do nadania tytułu Husakowi nie doszło.

Profesor Czapliński wysoko cenił działalność naukową Wojciecha Leszczyńskiego (1930-1975), dyrektora Instytutu Historycznego od 1972 roku. Niestety, ten zdolny i bardzo sumienny badacz, wielokrotnie był atakowany w środowisku naukowym za niezależność swoich poglądów. Zmarł w wieku 45 lat, pozostawiając po sobie szczery żal wielu osób, w tym także Profesora. O tym, jak wielką była zawiść wobec osoby zmarłego świadczy taki oto fakt. W rok po śmierci Leszczyńskiego postanowiono zwolnić z pracy jego małżonkę, także pracującą na wrocławskiej uczelni. Tylko dzięki wstawiennictwu części pracowników, w tym także prof. Czaplińskiego, zachowano na pewien czas jej stanowisko.



Prof. Władysław Czapliński

Innym wysoko cenionym przez Czaplińskiego uczonym był profesor Adam Galos. Spotykał się z nim wielokrotnie, dyskutowali nad badaniami, które obaj prowadzili, ale i omawiali prace Instytutu. Czapliński bardzo się liczył ze zdaniem Galosa, nawet jeżeli czasami różnili się w niektórych kwestiach.

Spośród młodszych pracowników bardzo wysoko oceniał pracę doktorską Michała Kaczmarka. Ale jak to w tym świecie – ceniony, ale pierwszy do zwolnienia z „powodów oszczędnościowych” (skąd my to znamy?). Profesor chętnie dyskutował i wstuchiwał się także w argumenty młodszego historyka dr Włodzimierza Sulei, a także prof. Mariana Jakóbca, sławistę i historyka literatur słowiańskich. Często wymieniany jest prof. Wojciech Wrzesiński, który pomimo przynależności w tamtym czasie do partii, był atakowany przez innych towarzyszy.

Profesor zanotował w „Dzienniku” o prowokacji z 1979 roku, przygotowanej przez Służbę Bezpieczeństwa, polegającej na rozrzucaniu fałszywych numerów Biuletynu Informacyjnego Studentckiego Komitetu Solidarności przez jednego z pracowników Instytutu Historycznego wraz ze studentem historii. Tym studentem był syn głośnego wrocławskiego poety, aspirującego do Literackiej Nagrody Nobla. Potem okazało się, że posądzenie studenta historii było „na wyrost” i wrocławski SKS przeprosił za te przypuszczenia. Zaś wzmiankowany pracownik Instytutu uchodził w swoim czasie za tego, który „wydał dwie książki i kilkunastu kolegów”.

Ten sam pracownik, nazwijmy go X, miał jeszcze jedną niezbyt ciekawą historię w 1979 roku związaną z postacią prof. Romana Hecka. Prof. Heck (1924-1979) mediewista, był członkiem partii na wrocławskiej uczelni. Zbyt niezależny w swoich poglądach

w wielu kwestiach, często był atakowany przez innych członków partii, szczególnie przez tzw. „młodych hunwejbiniów”, wśród których był wspomniany X. Po jednym z takich ataków, profesor trafił do szpitala, gdzie popełnił samobójstwo. Środowisko naukowe zareagowało, kierując palec oskarżenia w kierunku X. W związku z wydaniem „Dziennika”, w którym znalazła się ta informacja, zwrócono się do X o stosowne wyjaśnienie. I takowe znalazło się w jednym z przypisów.

Czy wyjaśnienie rozwiewa wszelkie wątpliwości po 45 latach od tamtego zdarzenia? Pozostawiam to ocenie czytelnika. W tym miejscu muszę wspomnieć o swoim pierwszym spotkaniu z owymi „hunwejbiniami”, jakie miało miejsce na początku moich studiów w 1985 roku. Pewnego dnia usłyszałem na korytarzu Instytutu Historii wydobywający się z jednego z pokoi, donośny śpiew Międzynarodówki („Wyklęty powstań ludu ziemi”). Po chwili z pomieszczenia wyszło kilku pracowników Instytutu, na czele ze wzmiankowanym X. Jak się okazało, mieli spotkanie partyjnej „młodzieżówki” komunistycznej. Młodzieżówki – z cofniętym licznikiem.

Profesor Władysław Czapliński zmarł 17 sierpnia 1981 roku we Wrocławiu. Jest pochowany na cmentarzu Grabiszyńskim. Nie wiadomo, czy Profesor Czapliński miał wiedzę, jakie „kwiatki” szyla osoba z najbliższego mu otoczenia...



„Dziennik 1958 – 1981” przygotował do druku dr Tomasz Siewierski. Książka ukazała się w Państwowym Instytucie Wydawniczym, Warszawa 2024.



Niczego oprócz **prawdy**



Waldemar Żyszkiewicz

**ARCHIWUM
WSPÓŁCZESNOŚCI**

▪ *De mortuis nil nisi bene*, czyli o zmarłych tylko dobrze albo wcale! Często przyjmuje się to zalecenie za istotę postawy chrześcijańskiej. Niestuszenie.

W rozpowszechnionym współcześnie przekonaniu znana z łacińskiej formuły maksyma „*de mortuis nil nisi bene*” (w innej wersji „*de mortuis aut nihil aut bene*”), której sens sprowadza się do postulatu, aby w obliczu śmierci litościwie przemilczeć złe postęпки zmarłego, to kwintesencja miłosiernej postawy wobec bliźnich, kończącej swą ziemską wędrówkę. I zarazem moralny wymóg wiążący sumienia wyznawców Chrystusa. Ale to nie całkiem tak.

Przede wszystkim, szlachetnie brzmiąca rada, aby nie powtarzać złych rzeczy o zmarłych jest wcześniejsza niż chrześcijaństwo i pochodzi od któregoś z greckich mędrców z tzw. okresu przedfilozoficznego. Diogenes Laertios przypisuje ją Chilonowi ze Sparty (VI wiek przed Chrystusem), podczas gdy Plutarch upatruje jej autora w Solonie-ateńczyku (przełom VII i VI wieku p.n.e.). Takie pochodzenie maksymy nasuwa też inny sposób jej rozumienia. W starożytności kult przodków łączył się nieodmiennie z obawą przed duchami. Demonologia była mocno rozbudowana, a rozmaitym „larwom” i „upiorom” przypisywano spore możliwości szkodenia ludziom. Zalecenie, by nie mówić źle o umarłych, mogło mieć zatem zwykły praktyczny i zdroworozsądkowy charakter.

W domu i na agorze

Cywilizacja łacińska – wsparta na racjonalizmie greckiej filozofii i rzymskim prawie oraz przeniknięta duchem chrześcijaństwa – inaczej uzasadnia powściągnięcie ludzkich języków w obliczu majestatu śmierci. Uważa się, że kres doczesnego życia niejako w naturalny sposób „przedawnia” spory i konflikty. Nie warto zatem zapamiętywać się w pretensjach, choćby i najbardziej zasadnych, bo żywienie złych emocji nikomu nie służy. A ostateczny bilans ludzkiej egzystencji, czyli decyzja: piekło/czyściec/niebo i tak pozostaje w gestii Najwyższego Sędziego.

Ważny jest też wzgląd na najbliższych, którzy opłakują zmarłego. Nawet nasi krzywdziciele mają swe rodziny. Najbardziej cyniczni oprawcy okazywali nieraz ludzkie uczucia, a politycznym zbrodniarzom zdarzało się również przeprowadzać przez ulicę staruszki z sąsiedztwa. Dlatego wyominanie nagannych występów zmarłego czy formułowanie rygorystycznych ocen jego osoby jest, przynajmniej w czasie żałoby, po prostu niestosowne. I tak właśnie – jako kurtuazyjne przemilczenie niepoehlebnej części prawdy o zmarłym – jest dziś rozumiana rada starych greckich mędrców. Demonstrowanie swych pretensji czy napraszanie się ze straszną niekiedy wiedzą wobec pograżonej w żalu rodziny nie wchodzi raczej w grę. Wszakże z zastrzeżeniem, że zmarły jest osobą prywatną i mówimy o przestrzeni czy środowisku lokalnym.

W przypadku osób publicznych – szczególnie tych, które pozostawiają po sobie mroczne dziedzictwo ludzkiej krzywdy – jest trochę inaczej. Jeśli rodzina Anatola Fejgina (1909–2002) ma prawo w drukowanym w *Gazecie Wyborczej* nekrologu nazwać go „kochanym Mężem, Ojcem, Dziadkiem i Pradziadkiem”, to trudno odebrać publicystom czy historykom prawo



do przypomnienia pełniejszego obrazu tej okrutnej postaci (nawet zaraz po jej śmierci).

Prawda was wyzwoli!

Delikatność uczuć jest wciąż niewątpliwą zaletą, ale walorem wyższego rzędu – przynajmniej w naszej cywilizacji euroatlantyckiej – pozostaje prawda. Zwłaszcza dla chrześcijanina, dla którego słowa Chrystusa o wyzwolicielskiej mocy prawdy (por. J 8, 32) stanowią zawsze aktualne, choć trudne wyzwanie. Oczywiście, pisana z dużej litery Prawda (o Bogu, świecie i człowieku) w ewangelicznym rozumieniu jest pojęciem szerszym niż arystotelejska „zasada zgodności myśli z rzeczywistością”, ale również ją w sobie zawiera. I bynajmniej nie jest z nią sprzeczna.

Jesteśmy przekonani, że należy dążyć do prawdy, choć nie w każdym przypadku należy ją (już rozpoznaną) bezwarunkowo wszystkim ujawniać. Bywają sytuacje, w których pełna wiedza o stanie rzeczy mogłaby szkodzić, gorszyć, a nawet deprawować. Ale podobnie demoralizujący, mylący

Ciąg dalszy na str. 16 ►

► cy czy szkodliwy wpływ może mieć ukrywanie faktycznego stanu rzeczy przed ludźmi, których to dotyczy. Dlatego trzeba rozważyć w sumieniu, jak ujawnienie (lub przemilczenie) prawdy wpłynie na losy konkretnego człowieka czy zbiorowości.

Tak, prawdziwość wypowiedzi powinna być połączona z troską o dobro. Tzw. weredyczność, czyli walenie prosto z mostu lub dawanie brzytwą po oczach wcale nie jest chrześcijańską cnotą. Oprócz głoszonych treści liczy się bowiem także forma ich prezentacji. Ale nie znaczy to również, że każde pominięcie niewygodnych faktów lub surowych ocen jest wyrazem miłosierdzia, tak reklamowanego dziś przez zwolenników historycznej niepamięci. Przeciwnie, interesowność tych „przebaczyliwych” widać gołym okiem. Zwłaszcza gdy swoim łatwo darują zbrodnie, natomiast przeciwników sekują za naruszenie kanonu politpoprawności.

A może ujednoczyć standardy?

Przesada? Nic podobnego. Dylemat, czy mówić o zmarłych dobrze, czy raczej prawdziwie, był w polskich mediach rozstrzygany w tym roku na dwa sposoby. Śmierć pułkownika Kuklińskiego znów zaktywizowała środowiska, które w dochowaniu przysięgi „na wierność Związkowi Radzieckiemu” upatrują szczytów dostępnego Polakom patriotyzmu. Pono-

wiono dyskusję pod fałszującym sprawę hasłem „zdrajca czy bohater” (fałszującym, bo przeciwieństwem zdrajcy jest patriota, a przeciwieństwem bohatera – tchórz lub dekownik). Próbowano dyskredytować walory osobiste, pomniejszając strategiczne znaczenie zasług. Aż przykro wspominać.

Ale już przypomnienie wątpliwych elementów biografii Czesława Miłosza czy drażliwych cytatów z jego twórczości zostało wręcz napiętnowane przez grupę krakowskich polonistów, Radę Etyki Mediów i Magdalenę Bajer osobiście. *De mortuis...* – pohukiwano z wielu stron, nawet krytyczny wcześniej wobec Noblisty poeta Wojciech Wencel wykonał w *Nowym Państwie* piruet nadobowiązkowy w stronę autora „Trzech zim”.

No więc, jak będzie z tymi naszymi zmarłymi? Myślę tu tylko o postaciach znanych, ważnych dla opinii publicznej, dla narodu, myślę o osobach pretendujących do rangi autorytetów oraz miejsc w antologiach, encyklopediach i różnych przedsięwzięciach sławy. Czy wolno wypomnieć im ewentualne niekonsekwencje życiowe lub polityczne pomyłki, a niekiedy nawet zawinione i jawne zło? Wydaje się, że naszej zbiorowej samowiedzy lepiej od rady starych Greków przysłużyłaby się dyrektywa: o umarłych, tak jak i o żywych, niczego oprócz prawdy.

(w listopadzie 2004)

Ave Cesar morituri te salutant!

Pan Maruda
**NISZCZYCIEL
DOBREJ
ZABAWY**



W naszym małym imperium wszyscy mówią o demokracji. Demokracja jest lekarstwem. Gdy zapanuje – znikną wszystkie bolączki, znajdziemy się w Raju.

Ale jak ma się narodzić demokracja, kiedy tak naprawdę nikt jej nie chce? Sposób myślenia o polityce, nie tylko u nas, jest do głębi feudalny. Rozglądamy się nerwowo w poszukiwaniu wodza. Gdy go znajdujemy – lokujemy w nim wszystkie nadzieje. On ma nas prowadzić.

To nie jest kierunek w stronę demokracji, tylko w stronę przeciwną. Na własne życzenie pozbawiamy się inicjatywy. Uff! Co za ulga, nie trzeba już myśleć, rozwiązywać skomplikowanych problemów, orientować się w rzeczywistości. Wystarczą proste przekazy: ten jest dobry, ten zły. Tego kochamy, tego nienawidzimy.

Gdyby to nie było politycznie niepoprawne, pewnie przywrócono by publiczne egzekucje na rynkach miejskich. Ale by była zabawa! Najpierw pomidory, potem zgniłe jaja, a jak tłum się rozgrzeje, to: kacie, czyń swoją powinność!

Rozmarzyłem się troszeczkę...

Ale wracając do wątku. Lud jest leniwy i to nie jest tajemnicą. A politycy? Oni również. Robią groźne miny i odgrywa-



ją perfekcyjnie wyuczone role. Ale, jak przystało na ustrój feudalny, mają swoich patronów i wcale się z tym nie kryją. Ameryka nas obroni, Unia Europejska mądrze zarządzi, a europejskie sądy sprawiedliwie osądzą.

Oprócz dobrych, jak w każdej bajce, muszą być źli. Jest więc Putin, ale dla niektórych także Trump, którego inni zaliczają do świętych. Dla innej grupy naczelnym diabłem będzie Netanjahu. Mo-

sty pomiędzy tymi grupami są palone, połączenia odcinane. Zwolennicy prawicy dostają gęziej skórki na widok Tuska, a młodzi wykształceni po 60-tce mają pianę na ustach na wspomnienie Kaczyńskiego. Każdy ma swoją laleczkę woodo i zestaw szpilek.

Jakże łatwo zarządzać tak urobioną ludzką masą. Dniem i nocą czuwają nad tym specjaliści od kija i marchewki.

Mateusz Morawiecki: polski wywiad utrudnia polskim przedsiębiorcom wygrywanie przetargów w Polsce

- W rozmowie z Igorem Janke wspominał między innymi o koniecznych zmianach procedur w Agencji Uzbrojenia.

Można podsumować 2 lata tego rządu. Robimy to na bieżąco. Możemy to zrobić w sposób bardzo usystematyzowany. Jednak tu i teraz potrzebne są szybkie decyzje dla dobra Polski. A więc i Unii Europejskiej i polskiego biznesu.

Pilnie potrzebna jest zmiana procedur w Agencji Uzbrojenia i w MON-ie. Są rozporządzenia, które mają taką konstrukcję, że paraliżują polskich przedsiębiorców i nie pozwalają na to, co jest standardem w Niemczech czy we Francji, czyli rozmowy o tzw. business requirements, czyli wymogach biznesowych pod kątem produkcji broni, którą MON chce zamówić z prywatnymi przedsiębiorcami.

Polscy przedsiębiorcy nie mogą w pewnych rozmowach i negocjacjach uczestniczyć, ponieważ jest to zabronione. Traktowane to jest jako preludeum do korupcji albo jakiś przynajmniej podejrzany lobbying.

Punkt drugi, nakaz publikowania wszystkim naszym agencjom rządowym, na czele z Agencją Uzbrojenia, jaka część comiesięcznych wydatków z budżetu państwa polskiego przeznaczona na uzbrojenie idzie do biznesu polskiego. Dzisiaj według wiedzy generałów mamy do czynienia z kwotą na poziomie 15-20%. Niech to będzie za chwilę 25-30%. Taki wspomagający zastrzyk dla prywatnego biznesu. W założeniu, że stworzy nową jakość innowacyjną i możliwości produkcyjnych. Na rozmowach z polskimi producentami dronów wybrzmiało to dosadnie.

Te wszystkie wydatki mają być jak koło zamachowe naszej reindustrializacji. A reindustrializacja jest retechnologizacją, czyli nasyceniem polskiego przemysłu i usług nowoczesnymi wydajnymi technologiami. Sztuczna inteligencja jest właśnie ważnym warunkiem sine qua non tego, aby Polska za te 10-15 lat naprawdę była w przemyśle szpicy aktorów teatru europejskiego.

Dzisiaj nasza pozycja gospodarcza i polityczna jest mniej więcej na podobnym, zbyt niskim poziomie. Musimy zdecydowanie poprawić udział polskiego przemysłu prywatnego i polskich usług prywatnych w tym wielkim torcie pod na-



zwą zamówienia publiczne. Łączne zamówienia publiczne przekraczają pół biliona złotych, ale część to jest tak zwany in-house, część to są zamówienia z wolnej ręki. Zamówień, na które patrzą przedsiębiorcy co roku jest łącznie na kwotę 320-330 miliardów. Za parę lat będzie jeszcze więcej, bo rośnie to wraz z poziomem nominalnego PKB. Przesunięcie o 10% to 32 miliardy w kierunku polskiego prywatnego, wydajnego przemysłu. Te niebotyczne kwoty, musimy wykorzystać dla naszego rozwoju. To jest powered by Poland.

Zgadzam się w 100%, a zwłaszcza w kwestii budowania naszego przemysłu zbrojeniowego, który niestety nic nie wskazuje na to, żeby się nastrój geopolityczny zmienił i sytuacja na świecie. Musimy mieć bardzo silną armię. Możemy mieć bardzo silną armię. Możemy dyskutować, czy ona powinna się rozwijać w tym czy innym kierunku. Natomiast nie ma wątpliwości, że ona musi być bardzo silna. Moim zdaniem nie ma wątpliwości, że dalej musimy kupować ten ciężki sprzęt, bo drony są niezwykle ważne, ale obrona przeciwlotnicza, rakiety dalekiego zasięgu. W kraju musimy tworzyć warunki dla stabilności gospodarki, dla nauki, dla ludzkiej energii, która dba o dobro Ojczyzny, budując swój dobrobyt i wspólne bezpieczeństwo.

Post 12 listopada 2025 o 08:53

Mateusz Morawiecki: Igor Janke przeprowadził ze mną dłuższy wywiad o Polsce i sytuacji międzynarodowej. Cieszę się, że istnieją niezależne media, w których jest miejsce na wielowątkowe, wyczerpujące rozmowy. Dziękuję.

Mieliśmy okazję poruszyć m. in. następujące tematy:

- Dlaczego potencjał gospodarczy Polski nie przekłada się na jej potencjał polityczny?
- Czy nasz rozwój gospodarczy mógł się potoczyć inaczej?
- Jak uaktywnić inwestycje polskich przedsiębiorców?
- Na czym polega problem naszej zbrojeniówki?
- Czy Polska może się jeszcze zadłużyć?
- Jak możemy współpracować z krajami bałtyckimi i Skandynawią?
- Czy Ukraina powinna wejść do UE i NATO?
- Gdzie widzę Polskę za 10 lat?

Cała rozmowa pod linkiem:

<https://www.youtube.com/watch?v=ug-7pxp5qQIA&t=10s>

Męczennik przyszedł do męczennika

■ Dwadzieścia pięć lat temu na wrocławskich Kuźnikach poświęcony został kościół pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli. A erygowanie parafii z tak znaczącym patronem nastąpiło osiem lat wcześniej, czyli w 1992 roku.



Jeszcze za życia budowniczego kościoła oraz pierwszego proboszcza, ks. prałata Bolesława Szczęcha (1992–2019), z inicjatywy parafian rozpoczęto odprawianie comiesięcznych mszy świętych za Ojczyznę. Nawiązując do święta patronalnego i odpustu, który ma miejsce 16 maja, wszystkie kolejne msze za Polskę do dziś dnia odbywają się 16. każdego miesiąca.

Jednak w ostatnią niedzielę 16 listopada 2025 roku msza za Ojczyznę miała wyjątkowy charakter. Liturgii towarzyszyło sprowadzenie do świątyni relikwii błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszki. Współczesny nam święty męczennik przyszedł do patrona Polski, męczennika za wiarę z XVII wieku. Piękna, podniosła, wzruszająca uroczystość.

Miejscowi oraz przyjezdni goście wypełnili szczerze świątynię, liczne poczty sztandarowe dodały uroczystości splendoru, a jeden z oddanych parafian ufundował relikwiarz. Liturgii przewodniczył ksiądz Andrzej Dziełak, kolega księdza Jerzego z czasów odbywania zasadniczej służby wojskowej. Obaj byli w latach 1966-1968 klerykami alumnami powołanymi do wojska w Bartoszycach, jednostce położonej na północnym wschodzie Polski, w pobliżu granicy sowieckiej. Już w tamtym czasie z powodu nieskrywanej religijności spadali na księdza Jerzego prześladowania, które poważnie nadszarpane były Mu zdrowie.

Jak głosił w kazaniu ks. Andrzej Dziełak – spośród polskich męczenników ci dwaj kapłani, św. Andrzej i bł. Jerzy, stali

się ofiarami najbardziej okrutnej, wyrafinowanej śmierci. Nie zna historia naszej Ojczyzny bardziej okrutnego męczeństwa. Andrzej zamęczony przez kozaków, ksiądz Jerzego zamordowali jego rodacy, Polacy.

Czytania na ten dzień nie zostały specjalnie wybrane, tym bardziej poruszające były słowa Ewangelii wg św. Łukasza z rozdziału 21: *...przed tym wszystkim podniosą na was ręce i będą was prześladować. Wydadzą was do synagog i do więzień oraz z powodu waszego imienia wlec was będą przed królów i namiestników. Będzie to dla was sposobność do składania świadectwa.*

Dalej mówił ksiądz Dziełak: To zło, prześladowanie, pozbawianie godności, to kłamstwo, które się rozlewa ▶



► w przestrzeni publicznej nad naszą polską ziemią – tego boleśnie doświadcza. Cierpienia tyłu, tyłu ludzi, to zło, moi drodzy, nie może nas przerazić. Jezus mówi – będzie to dla was sposobność do składania świadectwa. Nie bójcie się!

Św. Andrzej Bobola, jezuita, duszochwata, kaznodzieja, spowiednik, misjonarz Polesia. Doświadczył niewyobrażalnego cierpienia. W 300. rocznicę jego męczeńskiej śmierci, w 1957 roku, ukazała się jedyna w Kościele katolickim encyklika poświęcona jednemu świętemu – „Invicti Athletae Christi” (Niezwyciężony Szermierz Chrystusa). Papież Pius XII pisał w niej o św. Andrzeju Boboli:

Został pochwycony w okolicy Janowa przez wrogów katolickiego imienia. (...) Wzdryga się dusza na wspomnienie wszystkich tych mąk, które bohater Chrystusowy z niezłomnym męstwem i nieugiętą wiarą przecierpiał. Po obiciu kijami i dotkliwych policzkach, przywiązany sznurem do konia, ciągniony był przez jeźdźca na powrozie męczącą i krwawą drogą aż do Janowa, gdzie czekała go ostatnia katusza. (...) Powtórnie obity biczami, na wzór Chrystusa uwieczony został dotkliwym spowiciem głowy, policzkami straszliwie sponiewierany i zakrzywioną szablą zraniony, upadł. Niebawem wyrwano mu prawe oko, w różnych miejscach zdarto mu skórę, okrutnie przypiekając rany ogniem i nacierając je szorstką plecionką. I na tym nie koniec: obcięto mu uszy, nos i wargi, a język wyrwano przez otwór zrobiony w karku, ostrym sztyłem ugodzono go w serce.

(...) dobity cięciem miecza doszedł do palmy męczeńskiej, zostawiając wspólniały obraz chrześcijańskiego męstwa.

Na księdzu Jerzym w październiku 1984 roku dokonano podobnie bestialskiego mordu. Wbrew sfinansowanym ustaleniom procesu toruńskiego kaźń jego trwała kilka dni. Niestety nie znamy ani zleceńdawców – choć się domyślamy, ani realizatorów bestialstwa. Poprzez tę śmierć chciano zastraszyć naród, kneblując na zawsze usta Kapelań Solidarności.

Najwyraźniej nie do zniesienia dla rządzących PRL i ich moskiewskich mocodawców były słowa pełne wiary, mocy i prawdy, które ks. Jerzy co miesiąc głosił. W listopadzie 1983 roku wierni usłyszeli:

O cierpieniach Narodu od 13 grudnia 1981 roku mówiliśmy już wiele razy podczas naszych comiesięcznych Mszy świętych na Ojczyznę. Wspomnijmy więc



dzisiaj tylko o niewinnej śmierci braci naszych, górników z kopalni „Wujek”,



o śmierci braci z Lubina, Nowej Huty i innych miejscowości, o okrucieństwie zbrodni dokonanej na Grzesiu Przemyku. Wspomnijmy o tylu bitych i poniewieranych w godności ludzkiej siostrach i braciach. O obozach internowania rozsiągniętych po niemal całej polskiej ziemi. O łzach matek, ojców, dzieci, żon i mężów. O więzionych bez wyroków. (...) Może jeszcze do skuteczności ofiarnego kielicha Narodu potrzeba więcej naszego osobistego zaangażowania. Może jeszcze za mało naszych dobrowolnych wyrzeczeń, za mało czysto ludzkiej solidarności. Za mało odwagi do demaskowania zła, za mało troski o cierpiących, krzywdzonych i więzionych. Może ciągle za dużo w nas egoizmu, załężnienia, za dużo pijaństwa, za dużo ludzi sprzedających, bez własnego zdania, chcących wygrywać własne interesy kosztem innych. Może ciągle jeszcze za mało tych, którzy są wierni ideałom, za które bracia nasi przelewali krew?

Niedawno w Warszawie pod hasłem “Prawda jest nieśmiertelna” obchodzono już 41. rocznicę śmierci ks. Jerzego. Ksiądz Karol Oparcik, kustosz Sanktuarium Błogosławionego Księdza Jerzego Popiełuszki mówił wówczas: *Dla księdza Jerzego prawda zawsze była na pierwszym miejscu, bo prawdą jest sam Bóg. Za tę prawdę oddał życie i ta prawda jest nieśmiertelna i aktualna, zwłaszcza w dobie manipulacji.*

Heroiczni nasi patroni, święty Andrzej Bobolo i błogosławiony ksiądz Jerzy Popiełuszko – módlcie się za nami w tych na powrót trudnych czasach!

Zdjęcia Tomasz Białaszczyk



Śmierć Berii

MIKOŁAJ IWANOW



▪ Spośród czterech stalinowskich szefów sowieckich służb specjalnych tylko jeden zmarł śmiercią naturalną. Polak, Wacław Mienżynski, skierowany do Czeki jeszcze przez Lenina jako zastępca Feliksa Dzierżyńskiego, kierował GPU – NKWD przez 8 lat i, jak na bolszewika-leninowca, dożył na tej posadzie sędziwego wieku – 60 lat. Zmarł w 1934 roku na zawał serca, pozostawiając swą posadę – Henrykowi Jagodzie, któremu dane było być na tej posadzie zaledwie 2 lata. Po Jagodzie przysłała kolej na Nikołaja Jeżowa. Obaj byli posłusznymi wykonawcami woli i kryminalnych pomysłów Józefa Stalina, obaj pozostawili swój wyraźny ślad w historii jako architekci „wielkiego terroru”, co jednak nie uchroniło ich od kuli kata. Pierwszy zginął w podziemiach Łubianki w 1938 roku, drugi w 1940 roku.

Następca Jeżowa, gruziński bolszewik Ławrientij Beria, wydawało się, że dobrze uświadomił sobie, jakie niebezpieczeństwo kryje się w posadzie kierownika sowieckiego aparatu terroru i zadbał o odpowiednie środki bezpieczeństwa. Po aresztach jego poprzedników donosi na swych szefów składali ich najbliżsi współpracownicy, sądząc, że podobne donosicielstwo może uratować ich samych od miecza partii. Była to skrajna naiwność, bowiem Stalin na gwałt potrzebował kosztów ofiarnych dla wybielenia swych zbrodni, dlatego prawie zawsze wysoko postawieni NKWD-ziści ginęli w wirze kolejnych czystek. Ich śmierć była swoistym podsumowaniem „wielkiego terroru”, który oni sami organizowali na polecenie wodza partii.

Beria natomiast po objęciu stanowiska szefa NKWD zdecydował podjąć odpowiednie kroki w celu uniemożliwienia ewentualnej rozprawy z nim.

Po pierwsze, niezwłocznie przystąpił do tworzenia wokół siebie kręgu całkowicie oddanych współpracowników, którzy w razie zagrożenia osobiście mogli stanowić swoista „gwardię przyboczną”, zdolną odeprzeć każdy atak partii lub jej wodza na szefa służb specjalnych. Po drugie, Beria rozpoczął gromadzenie dokumentów kompromitujących zarówno samego Stalina, jak i innych członków Biura Politycznego w celu ich szantażowania w razie zagrożenia. Po trzecie, Beria zadbał o wzmocnienie wojsk NKWD tak, aby mogły stworzyć realną przeciwwagę regularnej armii w razie konfliktu między NKWD, a partią.

Wkrótce okazało się, że to wszystko, są środki nieskuteczne. Ławrientij Beria został aresztowany 26 czerwca 1953 roku, zaledwie 3 miesiąca po śmierci Stalina, w wyniku spisku w Biurze Politycznym na czele z Nikitą Chruszczo-



Ławrientij Beria

wym, który prawdopodobnie miał najwięcej podstaw obawiać się swego kolegi w Politbiurze. Oficjalna wersja śmierci wszechwładnego szefa sowieckich służb specjalnych brzmi następująco: po przeprowadzonym wielomiesięcznym śledztwie został uznany winnym wielu zbrodni przeciwko partii komunistycznej i państwu sowieckiemu i skazany na karę śmierci za zdradę stanu. Rozstrzelano go 24 grudnia 1953 roku w dzień wydania wyroku. Czy ta wersja jest zgodna z prawdą historyczną?

Marszałek Żukow w swych wspomnieniach pisze, że Beria podczas śledztwa i procesu sądowego zachowywał się bardzo brzydtko, bez godności. Błagał sędziów o darowanie mu życia, płakał, a kiedy prowadzono go na rozstrzelanie, kompletnie się rozkleił,

zrobił kupę w spodni, cały był upaprany... Ochrona z trudem doprowadziła go do celi straceń. Jest to wersja mało wiarygodna. Żukow miał jak nikt inny podstawy nienawidzić Berię, który na polecenie Stalina kierował dochodzeniem w sprawie nieuprawnionego wzbogacenia się marszałka, kiedy ten stał na czele sowieckich wojsk pokonujących Niemcy. Wiadomo, że marszałek do Moskwy wywiózł kilka wagonów zrabowanych dzieł sztuki i rozmaitych wartościowych przedmiotów. Po ujawnieniu tej afery Stalin, bez względu na wojenne zasługi Żukowa, pozbawił go posady w Niemczech i wysłał do Odessy na dowódcę drugorzędowego odesskiego okręgu wojskowego. Żukow nie bez podstaw obarczył za swą zsyłkę Berię.

Inna wersja śmierci Berii pochodzi od jego syna Sergo. Informację na ten temat Beria-młodszy uzyskał od jednego ze śledczych, Mitrofana Kuczawy, prowadzącego sprawę jego ojca. Twierdził on, że próba aresztowania Berii w czerwcu

nie powiodła się. Ochrona rezydencji Berii w centrum Moskwy stawiała zaciekły opór żołnierzom wojsk pancernych przybyłych go aresztować. Wywiązała się strzelanina. Sam Beria strzelał z karabinu maszynowego do ostatniej chwili i został zabity podczas szturm. Później rolę oskarżonego podczas śledztwa i procesu Berii grał jego sobowtór. Sergo Beria również był przekonany, że ciało jego ojca zostało rozpuszczone w kwasie solnym tak, żeby nie został żaden ślad tej zbrodni.

Kolejna wersja śmierci Berii związana jest z niezwykłą karierą wojskową Pawła Batickiego. Ten ówczesny generał wojsk przeciwlotniczych brał udział w aresztowaniu Berii w czerwcu, a w sierpniu dostał kolejny awans na generała-pułkownika. W przeddzień ▶



► procesu (wiadomo było, że wyrok może być tylko jeden – kara śmierci) zgłosił się na ochotnika bycia katem Berii. Na sali sądowej, tuż po ogłoszeniu wyroku, Baticki podszedł do Berii i bez ostrzeżenia strzelił mu prosto w czoło.

Ostatnia wersja śmierci Berii pochodzi od ludzi zaangażowanych w śledztwo i proces sądowy i wygląda na najbardziej wiarygodną. Wbrew opinii marszałka Żukowa, Beria w czasie śledztwa wcale nie załamał się, a na odwrót trzymał się twardo i próbował bronić swych racji. Na procesie przyznał się częściowo jedynie do swej działalności agenturalnej w czasie wojny domowej na rzecz rządu musawatystów w Azerbejdżanie, a także do słabości wobec kobiet. Odrzucił natomiast oskarżenie o bycie szpiegiem angielskim, o mordowanie zgwałconych przez siebie kobiet i inne zarzuty. Zaprzeczył, że jako szef GPU Gruzji rozprawił się w latach 30. z miejscowymi przywódcami komunistycznymi, by zatrzeć ślady swej współpracy z Anglikami. Nie zgodził się z zarzutem, że nakazał powszechne stosowanie tortur, kiedy w latach 1938 – 1945 kierował NKWD. Oświadczył, że wykonywał rozkaz Stalina w sprawie stworzenia tajnego laboratorium chemicznego na Łubiance, gdzie zatrudnieni przez NKWD naukowcy opracowywali receptury trucizn i testowali je na więźniach, skazanych na karę śmierci. Kpił również z zupełnie absurdu zarzutu o sabotażu w przemyśle zbrojeniowym. Jako dowód obalający ten zarzut podawał fakt unikalnego sukcesu kierowanego przez niego przemysłu jądrowego. 12 sierpnia 1953 w Związku Sowieckim przeprowadzono pierwszą w historii eksplozję bomby wodorowej. Amerykanie dokonali podobnej próby dopiero niecały rok później.

Wyrok w jego sprawie był jednak przesadzony. Trybunał wojskowy pod przewodnictwem marszałka Koniewa skazał go na śmierć. Po jego ogłoszeniu Beria natychmiast został odprowadzony do celi straceń. Po drodze nie załamywał się i nawet zwrócił się do sędziów z pytaniem: Dlaczego nie pozwolono mu na ostatnie życzenie? Wypowiedział dziwne słowa: „po raz ostatni dajcie mi pokochać kobietę”. Po wprowadzeniu do celi straceń został natychmiast zastrzelony przez generała Batickiego z jego broni osobistej – niemieckiego pistoletu typu parabellum. Strzał był między oczy.

Od śmierci jednego z najbliższych Stalinowi przywódców minęło ponad 65 lat. Jednak 25 lat po upadku komunizmu i rozpadzie Związku Sowieckiego historia jego aresztowania, śledztwa, wyroku i rozstrzelania nadal stanowi jedną



Ławrientij Beria z córką Stalina, Swietłaną

z najbardziej strzeżonych tajemnic państwowych. Co więcej, na tle braku wiedzy w społeczeństwie na temat okoliczności rozprawy z jednym z najbardziej wpływowych ludzi w stalinowskim państwie totalitarnym powstają liczne teorie spiskowe i mity przedstawiające Ławrientija Berię w zupełnie innym świetle.

Po śmierci Stalina Związek Sowiecki istniał jeszcze przez kolejne 37 lat. Były to lata powolnego pograżania się sowieckiego systemu totalitarnego w coraz głębszym kryzysie politycznym, ekonomicznym i społecznym. Upadek Związku Sowieckiego w 1991 roku był jedyną formą przewyciężenia tego kryzysu i podjęcia próby budowania przez narody cywilizowanego demokratycznego ustroju, zdolnego zapewnić obywatelom nowopowstałym państwom godne i dostatnie życie. Proces ten, jak się okazało, był o wiele bardziej złożony i bolesny, niż się wydawało w roku 1991.

Czy możliwe, aby Beria, mimo swych licznych zbrodni, był politykiem, który po śmierci Stalina rozumiał jak nikt inny złożone problemy postalinowskiego ZSRS i już wtedy w 1953 roku próbował znaleźć wyjście z pełzającego kryzysu?

W swoim przemówieniu na XX zjeździe partii w 1956 roku, zwanym zjazdem destalinizacji, Nikita Chruszczow na temat Berii powiedział: „Beria rozpracował szczegółowy plan likwidacji sowieckiego ustroju społecznego. Nie mógł tego zrobić za życia towarzysza Stalina, dlatego rozpoczął jego realizację tuż po jego śmierci. Przystąpił do dyskredytacji polityki wielkiego Lenina, przygotowywał przejęcie władzy i ustanowienie dyktatury kontrrewolucyjnej. Beria kie-

rował na kierownicze stanowiska ludzi należących do swego spisku. W swym zdradzieckim antysowieckim celu Beria i jego spiskowcy planowali przeprowadzenie reform skierowanych na aktywizację resztek burżuazyjno-nacjonalistycznych niedobitków”.

Z punktu widzenia obiektywnego analityka oraz na tle tego, co dziś wiemy o istocie komunizmu i jego zbrodniach podobną ocenę Berii przez Chruszczowa można uznać jako pozytywną. Dodajmy, że to nie Chruszczow, lecz Beria podejmował pierwsze próby destalinizacji. Na mocy wielkiej amnestii, inicjowanej przez Berię wiosną 1953 roku, wyszło na wolność z obozów i więzień ponad 1,2 mln ludzi. W ciągu 3-4 miesięcy, kiedy Beria znajdował się u władzy, zrezygnowano z procesów politycznych. Na wolność wyszli i zostali uniewinnieni lekarze kremlowscy, za życia Stalina oskarżeni o próbę zabicia „ojca narodów”. Beria wystąpił z inicjatywą przyjęcia kilku ustaw, które umożliwiłyby prześladowanie ludzi z powodów politycznych. Było to pośrednie przyznanie się do zbrodniczego charakteru „wielkiego terroru” i innych aktów represji za czasów Stalina.

Beria był zwolennikiem polityki odprężenia z Zachodem. Miał zamiar odnowić stosunki z Jugosławią marszałka Josipa Broz Tity. Uważał za niecelowe powstanie państwa socjalistycznego we wschodnich Niemczech i dopuszczał połączenie Zachodnich i Wschodnich Niemiec w jedno państwo.

W polityce wewnętrznej Beria planował wyraźną liberalizację życia kołcho-

► zowego, likwidację ograniczeń paszportowych dla chłopów, którym za Stalina odebrano prawo swobodnego osiedlania się. Przypomnijmy, że kołchoźnicy prawnie otrzymali paszporty wewnętrzne (dowody osobiste) w Związku Sowieckim dopiero w latach 70.

Beria prawdopodobnie dostrzegł negatywny wpływ ideologii na działalność gospodarczą, był zwolennikiem większej swobody dla kierowników przedsiębiorstw państwowych oraz za ograniczeniem centralnego planowania.

Najdalej w kwestii rehabilitacji Berii idzie rosyjski historyk Sergej Kremlew, autor książki poświęconej szefowi sowieckich służb specjalnych. Uważa, że Beria był jedyną osobą w Biurze Politycznym świadomym nieuniknionego upadku sowieckiego systemu politycznego. Jego zreformowanie mógł przeprowadzić tandem Malenkow – Beria. Teoretycznie rolę naczelnego wodza mógł odgrywać Rosjanin Georgij Ma-

lenkow, Beria natomiast miał znajdować się jakby w cieniu, ale jednocześnie decydować o wszystkim. W tej sytuacji Chruszczow prawdopodobnie by pozostał w Biurze Politycznym, ale nigdy nie objąłby stanowiska pierwszego sekretarza. Beria, według Kremlova, mógł skierować rozwój kraju zupełnie w innym kierunku, unikając otwartej konfrontacji z Amerykanami i koncentrując wysiłek narodu i państwa na poprawie mechanizmów gospodarczych. Możliwe, że ten wybór wcześniej, czy później mógł doprowadzić do wprowadzenia reform rynkowych i rezygnacji z kolektywizacji wsi. Kremlow uważa, że upadek i śmierć Berii symbolizowały dla Związku Sowieckiego i dla całego świata straconą szansę na wcześniejszy upadek sowieckiego systemu totalitarnego i wyraźne odprężenie w stosunkach międzynarodowych.

W dzisiejszej Rosji próba rehabilitacji Berii i przedstawianie go jako nie-

doszłego reformatora i nawet antykomunistę – przeciwieństwo Chruszczowa – odzwierciedla nostalgię znacznej części społeczeństwa za imperialną przeszłością. Jest to również próba częściowego wybielenia sowieckiego aparatu terroru i służb specjalnych, z których wywodzi się obecna głowa państwa. Przypisywanie Berii ambicji reformatorskich ma na celu stworzenie mitu straconej szansy na uratowanie imperium sowieckiego przez złagodzenie systemu totalitarnego.

W rzeczywistości Ławrentij Beria planował rekonstrukcję ustroju tylko w jednym celu – aby zachować miejsce przy kremłowskim stole, wygrać bitwę ze swoimi przeciwnikami w partii komunistycznej i ocalić własne życie. Okazało się, że w tej śmiertelnej kremłowskiej grze Beria został po mistrzowsku ograny przez konkurentów w schedzie po Stalinie. Ograny w stylu iście stalinowskim.

Zaplombowany wagon historii

czyli jak Niemcy **wyeksportowali komunizm**, a Rosja go zainstalowała jak wirusa



PRZEMYSŁAW ŻARSKI

■ Gdyby historia była filmem, to Niemcy i Rosja z pewnością graliby w nim duet czarnych charakterów – takich, co to najpierw podpalają dom, a potem oferują pomoc w gaszeniu, oczywiście za odpowiednią cenę. A wszystko zaczęło się od ideologicznego prezentu, który Niemcy wręczyli światu z uśmiechem godnym sprzedawcy odkurzaczy – komunizmu.

Made in Germany: komunizm – produkt eksportowy z duszą piekielną

Karol Marks i Fryderyk Engels – oto duet, który w XIX wieku postanowił, że świat potrzebuje rewolucji. Nie, nie rewolucji przemysłowej – to już było. Chodziło o rewolucję społeczną, która miała wyzwolić proletariat, a w praktyce wyzwoliła aparat represji, obozy pracy i kolejki po chleb. Ich manifest komunistyczny był niczym instrukcja obsługi dla przyszłych tyranów – zgrabnie opakowana, pełna wzniosłych haseł, ale z efektem ubocznym w postaci milionów ofiar.

Lenin, ten ideologiczny *fanboy* z Petersburga, zaczytywał się w dziełach niemieckich filozofów jak nastolatek w poradnikach samodoskonalenia. I tak oto niemiecka teoria trafiła na rosyjską praktykę – z efektem porównywalnym do wrzucenia granatu do beczki z benzyną.

Zaplombowany pociąg – niemiecka wersja Ubera dla rewolucjonistów

Rok 1917. Niemcy mają problem: wojna na dwa fronty. A jak wiadomo, Niemcy nie lubią dzielić uwagi – ani w wojnie, ani w polityce. Rozwiązanie? Wysłać Lenina do Rosji w zaplombowanym wagonie, niczym przesyłkę kurierską z opcją „zniszcz i nie pytaj”. Wagon nie był może luksusowy, ale za to pełen ideologicznego ładunku wybuchowego.

Do tego dorzucano równowartość miliarda dolarów – bo rewolucja, jak każda impreza, kosztuje. Lenin nie tylko przyjechał, ale i rozkręcił balet, który zakończył się obaleniem caratu, wojną domową i narodzinami Związku Radzieckiego. A wszystko to dzięki niemieckiej inwestycji – jakby Deutsche Bank postanowił zainwestować w chaos.

Wersal – wspólny wróg dla tych, co nie lubią przegrywać

Po I wojnie światowej Niemcy i Rosja znaleźli się w klubie „upokorzonych i wściekłych”. Traktat Wersalski był dla Niemców jak dieta bez kiełbasy – nie do zaakceptowania. Zakaz rozwoju militarnego? Utrata terytoriów? Toż to zamach na niemiecką duszę strategiczną.

Rosja, z kolei, została potraktowana jak niechciany gość na przyjęciu dyplomatycznym – izolowana, pogardzana, z rewolucją w tle. I tak oto dwa skrajne reżimy – bolszewicki i niemiecki – zaczęły flirtować ze sobą, bo jak wiadomo, wspólny wróg zbliża bardziej niż wspólne wartości.

Tajne laboratoria – niemiecko-sowiecka akademika zła

Wbrew zakazom traktatowym, Niemcy i ZSRR rozpoczęły współpracę militarną, która przypominała kursy doszka-



► lające dla przyszłych agresorów. Na sowieckiej ziemi powstały ośrodki szkoleniowe, które dziś można by nazwać „Akademią Zła”:

- Lipieck – szkoła lotnicza dla przyszłych pilotów Luftwaffe. Bo przecież każdy totalitarny reżim potrzebuje dobrych pilotów.
- Kama pod Kazaniem – poligon dla niemieckich czołgów. Idealne miejsce, by testować przyszłe narzędzia *blitzkriegu*.
- Tomka – laboratorium broni chemicznej. Bo jak już niszczyć, to z rozmachem.

Niemcy dostarczali technologię, Sowieci przestrzeń. Transakcja była prosta: know-how za ziemię. A wszystko to pod przykrywką „współpracy naukowej”. Gdyby nie skala zniszczeń, można by uznać to za przykład udanej synergii.



Niemiecko-sowiecka parada zwycięstwa Brześć nad Bugiem 22.09.1939

Pakt Ribbentrop-Mołotow – kiedy cynizm przekracza granice

W 1939 roku Niemcy i ZSRR postanowili, że Polska to taki „bękart Wersalu”, którego można rozszarpać bez większych konsekwencji. Tajny pakt, który przypominał mafijną umowę o podziale terytoriów, był finałem cynizmu, któ-

ry przez lata dojrzewał w niemieckich i sowieckich laboratoriach politycznych. Komunizm i nazizm – dwa niemieckie twory – zjednoczyły się w akcie agresji, pokazując, że ideologia to tylko kostium. Prawdziwym aktorem jest interes. A Polska? Polska była sceną, na której rozgrywał się ten teatr zniszczenia.

250 lat niemieckiej kreatywności w niszczeniu sąsiadów

Jeśli ktoś sądzi, że niemiecka ingerencja w sprawę Europy Środkowo-Wschodniej to incydent, to warto przypomnieć kilka faktów:

- Caryca Katarzyna Wielka? Niemka.
- Rozbiory Polski? Niemiecka inicjatywa z rosyjskim wykonaniem.
- Komunistyczna Rosja? Niemiecka ideologia w rosyjskim wydaniu.
- Nazizm? Niemiecki produkt, eksportowany z entuzjazmem.
- Tusk? No cóż, niektórzy twierdzą, że też niemiecki projekt.

Od I RP po III RP – każda polska tragedia miała w tle niemiecką kalkulację i rosyjską realizację. Lewica, prawica, monarchia czy republika – dla niemieckich elit to tylko dekoracje. Cel był zawsze ten sam: dominacja. A ideologia? To tylko makijaż na twarzy cynizmu.

Epilog: Historia jako kabaret

Gdyby ktoś chciał napisać kabaret o historii Europy, Niemcy i Rosja byłiby jego głównymi bohaterami – z tą różnicą, że ich żarty kosztowały miliony istnień. Zaplombowany wagon, tajne laboratoria, pakt o nieagresji – to nie są scenariusze z thrillera, to realne wydarzenia, które pokazują, że gdy Niemcy i Rosja zaczynają współpracować, Europa powinna zacząć się modlić.

Bo historia uczy, że kiedy Berlin i Moskwa podają sobie rękę, to Warszawa traci terytorium. A kiedy ideologia staje się narzędziem, to człowiek staje się ofiarą. I choć dziś wagony są już otwarte, to cynizm nadal kursuje po europejskich torach – bez biletu, bez kontroli, z uśmiechem na twarzy.



Czas protestu



JERZY PAWLAS

▪ Bilionowe zadłużenie, milionowe bezrobocie, zapaść w służbie zdrowia, rolnictwo zagrożone, strategiczne inwestycje w impasie – administracja 13 grudnia nie jest w stanie realizować konstytucyjnej zasady społecznej gospodarki rynkowej.



Autor: Brain Error

Premier z bucioremami na rządowym fotelu konsumuje pop-corn, minister sprawiedliwości – poleca żurek. Dietetycy nie reagują. Pozostaje mieć nadzieję, że elektorat wyciągnie odpowiednie wnioski. Bo przecież deliktów konstytucyjnych aż nadmiar. Przywracanie „praworządności” bezprawiem, rażące lekceważenie porządku prawnego. Zarządzający spółkami skarbu państwa „audytują”, zamiast zajmować się rozwojem przedsiębiorstw. Nielegalni prokuratorzy prześladowają opozycję, a specjalny zespół śledczy ściga żołnierzy broniących granicy państwa. Niezależnie od tego, administracji 13 grudnia nie przeszkadza, że brukselokraci podejmują decyzje za kraje członkowskie.

Można dezurbanizować stolicę – zwęzając ulice i obsadzając je zielenią (na przekór kierowcom). Można dom Braci Jabłkowskich zaślaniać drzewami, ale stalinowski pałac kultury musi być wyeksponowany – nie wolno przesłaniać go wieżowcami. Ten pałac to nasze dziedzictwo, nie trzeba się go wstydzic – uważa stołeczny urbani-

sta. To rezultat audytu krajobrazowego, przeprowadzonego przez magistrat. W sejmie też PRL resentymenty. Można było wybrać towarzysza Jaruzelskiego na prezydenta, można zatem powołać towarzysza Czarzastego na rotacyjnego marszałka sejmowego. Nic to, że gloryfikuje rosyjskich „wyzwolicieeli”, nic to, że zamieszany był w aferę Rywina. Tak jakby zmowa okrągłostołowo-grubokreskowa obowiązywała bez najmniejszej korekty.

Za cenę samozagłady

Udział PKP Cargo w rynku kolejowym spadł od stycznia do września do 25,8% (w ub. r. – 27,5%, w 2020 – 36,5%). Pod pretekstem restrukturyzacji firmy, redukuje się pracowników. Zwolnienia grupowe obejmują 10 tys. zatrudnionych (w 2025 roku zwolniono 500 ludzi, w 2026 dalsze 1388). Pracodawca ma jednak gest, bo obiecuje bezrobotnym pomoc w opracowaniu CV. Do września krajowi pracodawcy zgłosili redukcję ponad 84 tys. ludzi (o 53 tys. więcej, niż

w całym zeszłym roku). Charakterystyczne, że masowe zwolnienia dotyczą głównie niewielkich miast (tradycyjny elektorat PiS).

Przeprowadzona w ramach okrągłostołowej transformacji ustrojowej prywatyzacja gospodarki (czytaj wyprzedaż majątku państwowego), spowodowała przejście przez firmy zagraniczne przemysłu rolno-spożywczego, i sieci handlowych, *nota bene* unikających opodatkowania. W konsekwencji inwestorzy zagraniczni trzymają w rękę polskich rolników, klientów i konsumentów. Podczas gdy na polskich polach mamy samo zbory, w zagranicznej sieci handlowej są do kupienia indyjskie ogórki konserwowane (poza brukselskimi standardami).

Gdy gospodarka w rozsypce, a dziura budżetowa coraz większa, premier chwali się historycznym wzrostem dochodu rozporządczalnego, zapominając o drożyznie i pauperyzacji społeczeństwa. Administracja 13 grudnia nie blokuje umowy Mercosur, a próbuje napływ ukraińskiej żywności, zmniejszenie ▶



► nakładów na rolnictwo w budżecie na 2026 rok. Niezależnie od katastrofalnej sytuacji w gospodarce, rządzący koncentrują się na rozliczaniu opozycji. Podobnie czynią to służby, nie mówiąc o prześladowaniu palących race, podczas gdy sabotażyści demolują tory kolejowe na strategicznej trasie.

Wraz z wyciszaniem obłędu klimatycznego, można wreszcie powiedzieć, że im więcej OZE, tym droższa energia oraz tym większa dewastacja sieci przesyłowych i tradycyjnych elektrowni. Niemniej brukselokraci wciąż swoje – cel klimatyczny na 2040 rok to redukcja gazów cieplarnianych o 90% względem 1990 roku. W ten sposób brukselska gospodarka przestaje być konkurencyjna, ale taka jest cena ideologizacji gospodarki. Zaś dla przeciętnego „unijczyka” wprowadzenie systemu ETS-2 może spowodować wzrost kosztów ogrzewania o 150%. To oczywiste zagrożenie dla gospodarki i gospodarstw domowych, niemniej dla brukselokratów wzbogacenie funduszu klimatyczno-socjalnego to kolejny krok w kierunku budowy państwa brukselskiego. Jak na razie zakusy brukselokratów nie wywołują refleksji i debaty publicznej na temat sensu członkostwa naszego państwa w UE.

Tymczasem administracja 13 grudnia nie rozwija inwestycji strategicznych, nie ma pieniędzy na służbę zdrowia, zaniża poziom polskiej edukacji, by zmieściła się w brukselskim obszarze edukacyjnym, zaś pieniądze z KPO – zamiast na rozwój przemysłu farmaceutycznego – przeznaczają na wiatraki. Pogłębia się chaos w wymiarze sprawiedliwości. Rządzący boją się Zorro, Batmana, czy papierowych kos, nie mówiąc o patriotycznych oprawach kibiców na stadionach. Postępuje proces destabilizacji państwa. W tej sytuacji obywatele mogą zaprotestować w referendum. Powinni także wygrać wybory, najlepiej przedterminowe i zmienić konstytucję.

Pato-gospodarka

Gdy dziura budżetowa bije wszelkie rekordy – problemem staje się segregacja śmieci i edukacja społeczeństwa w dziedzinie systemu kaucyjnego, jakby zwrot opakowań miał ratować planetę i gospodarkę. Gdy zarządzający spółkami skarbu państwa – zamiast zwiększać ich zyski – zajmują się rozliczeniami i audytami, rezultaty muszą być żałosne, bo i PO-fachowcy niebędą. Żeby ułatwić im działalność, przewiduje się wprowadzenie zakazu uchylania lub skracania okresu pełnienia funkcji w organach spół-

ek skarbu państwa przez osoby skazane za określone przestępstwa. I nie ma znaczenia, że zagraża to kondycji firm, transparentności zarządzania oraz narusza interesy akcjonariuszy, wierzycieli i kontrahentów.

W przyszłym roku nasze państwo osiągnie najwyższy deficyt sektora publicznego w UE – prognozuje Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Trudno o większą kompromitację administracji 13 grudnia, ale – jak na razie – elektorat nie wyciąga odpowiednich wniosków, uspokajany przez nielegalną telewizję publiczną i media polskojęzyczne. Tymczasem ukraińska żywność zalewa polski rynek, tym bardziej, że brukselokraci znieśli na nią cła. Prowadzi to do bankructwa plantatorów buraka cukrowego (cena za tonę wynosi 120 zł, gdy dwa lata temu – 260 zł). Zagrożeni są także sadownicy, producenci tytoniu i chmielu. Resort rolnictwa nie reaguje, więc rolnikom pozostają protesty. Tym bardziej, że skarbówka zamierza opodatkować VAT-em samo zbiory.

Jeżeli sadownicy liczą sobie 1,5 zł za kilogram jabłek, a w sieciach handlowych kosztuje on 6 zł, to kto przejmuje zyski?! Producenci żywności na granicy opłacalności, a konsumenci przepłacają. Drożyzna w naszym kraju bije unijne rekordy, zaś administracja 13 grudnia wprowadza nowe podatki (alkohol, wyroby cukrowe). Polscy konsumenci płacą za żywność, jak obywatele najbogatszych krajów unijnych. Na domiar złego, pracodawcy niechętnie podwyższają wynagrodzenia. W trzecim kwartale br. roku wzrost wynagrodzeń wyniósł 7,5% (rdr.), gdy w drugim – 8,8%. Zapewne informacja o przyspieszeniu zadłużeniu państwa (dziennie 1,2 mld zł) w przyszłym roku nie dotarła jeszcze do obywateli-podatników, bo gremialnie wyszli na ulice.

Rozumienie prawa

Trwa proces „przywracania prawa” bezprawiem. Projekt ustawy „praworządnościowej” spotkał się z zastrzeżeniami Rzecznika Praw Obywatelskich. Ustawa powinna przestrzegać konstytucji i umów międzynarodowych. Powołuje się na orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i TSUE, co przecież nie ma znaczenia, bo wymiar sprawiedliwości to kompetencje państw członkowskich UE.

Resort sprawiedliwości nie tylko demoluje sądownictwo, ale także dopuszcza się deliktów konstytucyjnych. Kancelaria prezydencka wnioskuje o skierowanie do prokuratury zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa

w związku z zarządzeniem dotyczącym zasad przydziału spraw sędziom. Tymczasem bohater afery kopertowej nadal z immunitetem. Dla sądu ubek jest wiarygodnym świadkiem, a za ujawnienie afery skazuje się dziennikarza. Stowarzyszenie Prawnicy dla Polski sporządziło raport o działalności przeciw prawu ministra Żurka. Jednak próba przedstawienia tych faktów na forum Parlamentu Europejskiego skończyło się niepowodzeniem. Po prostu wycofano zaproszenie dla przedstawiciela Stowarzyszenia.

Minister sprawiedliwości, niezrażony w destrukcji sądownictwa, przedstawia projekt ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa. Jest to powrót do tego, co było (15 członków Rady wybieranych przez sędziów), a więc powrót do poprzednich patologii. Sędziokracja zamiast demokracji. Korporacja sędziowska jako państwo w państwie. I nic to, że sędziowie powołani zgodnie z komunistyczną konstytucją, będą wytykali „neo-sędziów”, powołanych przez prezydentów III RP. Niemniej postawie opozycji zapewniamy, że będą domagali się pociągnięcia do odpowiedzialności PO-lityków, gdy tylko wygrają wybory

Administracja 13 grudnia tak się zapamiętała w ściganiu ministrów poprzedniego rządu (Zbigniewowi Ziobrze przedstawiono 26 absurdalnych zarzutów), że uchodzą jej uwadze takie fakty, jak uwalnianie przestępców, bo wydawali wyroki „neo-sędziowie”, czy poluzowanie służb na granicy zachodniej. Dlatego Ruch Obrony Granic zmierza do rejestracji w sejmie obywatelskiego projektu ustawy, dotyczącej wstrzymania realizacji paktu migracyjnego. Podobną inicjatywę przyjdzie podjąć przeciwnikom cenzurowania internetu, skoro rządzący chcą wprowadzić blokowanie treści, które uznają za nielegalne, bądź dezinformujące. Głównym cenzorem stałyby się UKE, nakazując usuwanie lub blokowanie treści (bez udziału sądu).

Zideologizowana gospodarka rujnuje fabryki, likwiduje miejsca pracy. Wszystko dla zielonego szaleństwa. W tej sytuacji w Katowicach protestowało 10 tys. związkowców. Mają dość polityki administracji 13 grudnia. Nie chcą zamykania kopalń przed 2049 rokiem (co było umową społeczną). Przyszli przedstawiciele wszystkich central związkowych. Gwiazdzisty marsz solidarności pracowniczej to przykład obywatelskiej determinacji. Tak dalej być nie może. Rządzący nieudacznicy muszą odejść. Może gwiazdzisty marsz w stolicy będzie dla nich *memento*.

Józef Chełmoński (1849-1914)
**MARTA
MORAWIECKA**


Realista i romantyk

■ Nie dożył odzyskania przez Polskę niepodległości. Zmarł cztery miesiące przed wybuchem I wojny światowej, która zakończyła się dla nas upragnioną wolnością. Ale bez takich genialnych twórców kultury i ducha nie zdołalibyśmy ocalić polskości. A polskością przesiąknięta jest na wskroś cała twórczość Józefa Chełmońskiego. Jednego z największych polskich malarzy, którzy swoimi dziełami wytyczali kierunki malarstwa światowego. Jeszcze za jego życia poznali się na nim koneserzy sztuki w Europie i Ameryce.



Józef Chełmoński, Droga w lesie, 1887, Muzeum Narodowe w Krakowie



Józef Chełmoński, Autoportret z okresu przed 1904, kolekcja Muzeum Narodowego w Krakowie



Józef Chełmoński, Kurka wodna, 1894, Muzeum Narodowe w Warszawie

Miał nieprawdopodobne zamiłowanie do polskiej ziemi. Z wielkim pietyzmem i starannością ukazywał obrazy z życia polskiej wsi, sceny rodzajowe, pędzące konie, chłopów przed karczmą, rozległe nostalgiczne pejzaże. Któż nie zna jego słynnych dzieł: Babiego lata, Bocianów czy Burzy. Mniej znane są natomiast subtelne krajobrazy czy szereg dzieł ukazujących ptaki w ich naturalnym środowisku.

W Muzeum Narodowym w Krakowie kończy się właśnie przekrojowa i bardzo obszerna prezentacja twórczości Józefa Chełmońskiego. Krakowska ekspozycja zamyka cykl trzech wystaw monograficznych poświęconych malarzowi, wcześniejsze miały miejsce w Warszawie i Poznaniu. Pokazano na niej szeroki wybór obrazów olejnych, akwarel i rysunków pochodzących zarówno z kolekcji muzealnych jak i prywatnych.

Z powodu ogromnego zainteresowania wydłużono godziny dostępności wystawy do 20.00. Równocześnie krakowska ekspozycja jako jedyna jest czynna we wszystkie dni tygodnia, łącznie ▶



► z poniedziałkami. Dostępność biletów można sprawdzić i dokonać zakupu na stronie bilety.mnk.pl

Józef Chełmoński urodził się w zubożałej rodzinie szlacheckiej w folwarku Boczki koło Łowicza (od niedawna zwanych Boczkami Chełmońskimi). Obydwój rodzice byli utalentowani artystycznie. Pierwszych lekcji rysunku udzielał mu podobno ojciec, jednak to matka, Izabela z Łoskowskich Chełmońska, sama rozmiłowana w sztuce i literaturze, swoją – jak wspominała wnuczka – *nieziemską istotą o słodczy charakteru nie mającej granic* – utwierdziła młodego Józefa w jego decyzji poświęcenia się sztuce.

W 1867 roku artysta przeniósł się do Warszawy. Po ukończeniu gimnazjum zapisał się do Klasy Nauki Rysunku i Szkicowania, pobierając także prywatne lekcje w pracowni malarzkiej Wojciecha Gersona, współzałożyciela Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Ten wymagający nauczyciel pozostawił niezatarte piętno w twórczości Chełmońskiego, który w liście do przyjaciela miał wspomnieć, że zawdzięcza mistrzowi wszystko.

W 1872 roku rozpoczął się okres podróży Chełmońskiego.

Dzięki wsparciu finansowemu Maksymiliana Gierymskiego podjął studia w Akademii Sztuk Pięknych w Mona-

chium. Spotkał tam wybitnych polskich artystów: Józefa Brandta, Adama Chmielowskiego oraz Stanisława Witkiewicza, którzy promowali jego prace. Niemniej Chełmoński nie czuł się dobrze w Monachium. Nie odpowiadały mu zarówno klimat jak i stosunki w mieście. Niemiecka krytyka oceniała jego obrazy jako zbyt emocjonalne i żywiołowe. Pojechał zwiedzić Włochy, odbył też wycieczki na Podole i Ukrainę. Krajobrazy stamtąd powracały w płótnach malarza do końca życia.

W 1874 roku Chełmoński wrócił na krótko do Warszawy i założył wraz z An-

► Ciąg dalszy na str. 28



► tonim Piotrowskim, Stanisławem Witkiewiczem oraz Adamem Chmielowskim pracownię artystyczną na najwyższym piętrze Hotelu Europejskiego. Zyskała ona później miano „kuźni polskiego malarstwa realistycznego”. W następnym roku prace jego ukazały się na wystawie w Zachęcie, niestety nie spotkały się z uznaniem krytyków i publiczności.

Kolejnym etapem życia Józefa Chełmońskiego był Paryż, gdzie spędził z wielkimi przerwami łącznie blisko 12 lat. Sam wyjazd umożliwił mu swym wsparciem Cyprian Godebski. Początki nad Sekwaną nie należały do łatwych, jednak wkrótce jego twórczość ukazująca życie polskiej wsi wzbudziła zainteresowanie Salonu Paryskiego, a nawet amerykańskich marchandów i kolekcjonerów. Sukces artystyczny i finansowy skłonił artystę do założenia rodziny. W 1878 roku poślubił Marię Korwin-Szymanowską i przez pierwszych kilka lat młodzi zażywali szczęśliwego, dość szalonego a nawet rozrzutnego życia. Z czasem zmiana przepisów cłowych dotyczących dzieł sztuki pogorszyła ich sytuację materialną. Nastąpiły ciężkie czasy i Chełmoński postanowił w 1887 roku wrócić do kraju.

Na Mazowszu, w Kuklówce niedaleko Grodziska, za pożyczone pieniądze kupił skromny modrzewiowy dworek. Sam mówił o nim „folwarczek”. Drastyczna zmiana w statusie materialnym i otoczeniu nie spodobała się żonie, dramatyczne momenty dotyczyły też śmierci trojga z siedmiorga ich dzieci. Małżonkowie rozstali się, a Chełmoński nie uznał swej ostatniej córki, Wandy, podejrzewając żonę o zdradę.

Zamieszkał w Kuklówce, początkowo ze starszymi córkami, później zupełnie sam. Wycofał się z życia towarzyskiego, ograniczając kontakty do starych przy-



Willa w ogrodzie – Kuklówka. Po 1889 roku, Muzeum Narodowe w Warszawie



Józef Chełmoński, Świt, 1892, Muzeum Narodowe w Krakowie



Józef Chełmoński, Krzyż w zadympce, 1907, Muzeum Narodowe w Warszawie

jaciół, m.in. Wojciecha Piechowskiego, Leona Wyczółkowskiego, Adama Chmielowskiego, Jana Stanisławskiego i Kazimierza Alchimowicza. Z czasem zaczął bywać u Heleny i Józefa Krasińskich, właścicieli Radziejowic oraz nawiązał serdeczną przyjaźń z księdzem Franciszkiem Barnabą Pełką, proboszczem parafii Ojrzanów. Poprzez Krasińskich zawarł znajomość z Pią Górską, której udzielał lekcji malarstwa i spędzał trochę czasu w Woli Pękoszewskiej u państwa Marii i Jana Górskich.

Na strychu urządził pracownię i oddał się całkowicie malarstwu. Wałęsał się po okolicznych lasach i moczarach. Przysłuchiwał się odgłosom ptactwa i plusku wody. Rozsiadał się w cieniu drzew i przyglądał się pracy chłopów na roli i pastuszków pilnujących stad owiec. Towarzyszyła mu ukochana przy-

roda, przydrożne kapliczki, psy i bociany. Nie stronił też od pracy na roli i w gospodarstwie.

Zmarł w swoim domu i został pochowany zgodnie z ostatnią wolą na cmentarzu w Ojrzanowie, obok przyjaciela, księdza Barnaby Pełki, kilka kilometrów od Kuklówki.

On chciał złowić wieczność, szukał prawdy obiektywnej, samej esencji, syntezy. Jakby sprawdzał, potwierdzał swoje własne, czysto osobiste wyobrażenia o naturze, swoją malarską wiedzę o kształtach i barwach przedmiotów – jakby zestawiał z wrażeniami, z chwilą (Masłowski, 1973).

Zostały tak naprawdę ostatnie dni, aby pojechać na wystawę do Krakowa i na własne oczy zobaczyć zaklętą w obrazach polskość – jej moc i urodę nieśmiertelną. Warto.

WIKTORIA MOCHOCKA



Laureatka III nagrody w konkursie literackim PJC w dziedzinie prozy. Chodzi do Liceum Ogólnokształcącego im. Jadwigi Królowej w Kielcach.

Stanisław Srokowski
MŁODE TALENTY

OPOWIADANIA

Gdybym miał jeszcze jeden dzień

Jestem 85 letnim mężczyzną, który jest już na skraju życia.

Pewnego dnia zasnąłem w moim szpitalnym łóżku, nagle obudziłem się i ujrzałem kartkę na moim stoliku. Drżącą dłonią sięgnąłem po nią i nałożyłem okulary. Na kartce widniała wiadomość: „Masz szansę przeżyć jeszcze jeden dzień z twojej przeszłości. Wybierz mądrze”.

Nie myślałem długo. Nie wybrałem dnia ślubu, sukcesu w pracy ani moich nastoletnich dni.

Wybrałem jeden z najzwyczajniejszych dni, w którym znów miałem 33 lat, czarną teczkę w lewej ręce i małą rączkę w prawej.

Wybrałem spacer z córką.

Miała wtedy 6 lat.

Teraz jest dorosła i ma swoje dzieci. Lecz wtedy śmiała się, zbierała liście i opowiadała mi o tym, co będzie robić, gdy będzie duża. Słuchałem uważnie ze łzami w oczach i uśmiechem na twarzy.

– Wierzę, że ci się uda córeczko. – powiedziałem.

Tego wieczoru odwiedziła mnie z moimi wnuczętami i jej mężem. Lecz nie piśnałem ani słowa, o tym, jaki wspomniałem dzień przeżyłem jeszcze ten jeden raz.

Koncert nie do zapomnienia

Lato 1985 roku. Koncert Metallici. Miałem wtedy 17 lat, dżinsową niebieską kurtkę i dżinsowe niebieskie spodnie. Pod kurtką miałem czarną bluzkę i czarne glany pożyczone od starszego brata. W kieszeni zaś trzymałem bilet koncertowy jak świętość.

Pojechałem wtedy z kolegami do Oakland na „Day On the Green”.

Moi kumple śmiali się, że wyglądam jak mała wersja Cliffa Burtona. I rzeczywiście tak było. Mi i chłopakom udało się stanąć na przodzie. Pierwszą piosenką, którą zagrała Metallica było „Creeping Death”. Tłum śpiewał „Die! Die! Die!” w rytm muzyki. James Hetfield krzyczał do mikrofonu, Lars Ulrich



uderzał w bębny tak, że trzęsła się ziemia, Cliff Burton, mój idol, szalał na basie i ruszał głową tak szybko, że włosami mógł stworzyć małe tornado a Kirk Hammett posiadał moc wspaniałych gitarowych riffów.

Kiedy była przerwa pomiędzy „Ride the Lightning” a „For Whom the Bell Tolls”, James zapytał publiczność, jak się ma i czy zna Cliffa Burtona.

Publiczność krzyknęła, a wraz z nią ja.

Wtedy James powiedział nam, że byśmy przywitali się z Cliffem i powiedzieli „cześć”.

Oczywiście krzyknąłem „cześć”, tak jak większość widzów.

Wtedy Cliff zaczął grać.

To było coś niezwykłego.

Było to jego wspaniałe basowe solo i nagle wszyscy umilkli.

Nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem.

To było jak sen.

Najlepszy moment dla mnie stał się w środku piosenki „For Whom The Bell Tolls”. Podnosiłem ręce do góry i krzychałem jak opętany, zupełnie jak reszta ludzi.

Bardzo się zdziwiłem, kiedy Cliff spojrział w moją stronę i się uśmiechnął.

Pewnie zauważył, że jesteśmy ubrani prawie identycznie.

Po koncercie przez długi czas nie mogłem uwierzyć, że tam byłam.

Pamiętam również jak bardzo wstrząsnęła mną wiadomość o tym, że Cliff zginął w wypadku samochodowym w Szwecji w 1986 roku.

Zespół zastąpił go nowym basistą – Jasonem Newstedem, lecz Cliff będzie dla mnie jedyny, najlepszy i niepowtarzalny, a Metallica w „Day On the Green”, to nie był zespół, to było wejście w inny wymiar.

List z kawiarni

Co roku dwie kobiety spotykały się w kawiarni. Zawsze w tym samym miejscu, o tej samej porze. To była ich tradycja, której się zawsze trzymały.

Joanna i Helena poznały się na studiach. Pomimo różnych dróg i zawodów nie mogły przestać być najlepszymi przyjaciółkami i musiały się widywać. Niezależnie, czy było to raz w roku, czy wiele razy.

Kiedy Joanna weszła do kawiarni, ujrzała, że nie było Heleny.

Zauważyła mrożoną kawę i kawałek sernika tylko po stronie, przy której zawsze ona siedziała. Natomiast po drugiej stronie, gdzie powinna siedzieć Helena, leżał tylko list.

Joanna sięgnęła po niego drżącymi dłońmi.

Przeczytała taką wiadomość: „Joanno, jeżeli to czytasz, to wiedz, że już mnie nie ma. Przepraszam, że nie mogłam się pojawić. Chorowałam na raka jelita, dlatego przy naszym ostatnim spotkaniu wyglądałam tak blado. Rak był bezlitosny, ale dał mi czas na pogodzenie się z tym, co nieuniknione. Dziękuję Ci za każdy rok, za każdą rozmowę, kiedy byliśmy razem. Gdy przyjdiesz tu następnego lata, będę nadal tu obecna jak i również w twoim sercu. Przepraszam, że nie powie działam Ci wcześniej o mojej chorobie. Chciałam, żebyś pamiętała mnie zdrową i pełną życia. Twoja przyjaciółka na zawsze, Helena.”

Łzy spłynęły po policzkach Joanny. Trzymała list blisko serca.

Ucieszyła się z myśli, że Helena już dłużej nie cierpi i że będzie czuwać nad nią niezależnie, co się wydarzy.

My Big Fat Greek Wedding – śmiech i zaduma



Andrzej Bafalukosz



KORESPONDENCJA Z GRECJI

■ Jakie jest pochodzenie słowa „kimono”? Pytanie wydaje się infantylne a szczególnie dla Japończyków wręcz obraźliwe. Ale jeśli ktoś oglądał film pt. „Moje wielkie greckie wesele” pamięta niesamowitą interpretację tego słowa wygłoszoną przez seniora rodu Portokalosów. Stwierdził on zdecydowanie, że „kimono” wywodzi się z od greckiego słowa „chimonas” co znaczy „zima” czyli „kimono” jako ubiór chroni przed zimnem. Ta etymologia według Gusa Portokalosa, ojca głównej bohaterki filmu, Touli, wywołuje do dziś śmiech, co było zresztą głównym zamiarem scenarzystki i współproducenta tej komedii, Nias (skrót od Antonija) Vardalos, Kanadyjki greckiego pochodzenia.

Sam film okazał się ogromnym sukcesem w skali światowej również finansowym i niespodziewanym dla jego pomysłodawców i odtwórców. Niskonakładowa produkcja w wysokości około 5 mln dolarów przyniosła niebotyczny zysk ponad 350 mln dolarów. Pomimo udziału drugo i trzeciorzędnych aktorów oraz zwykłych amatorów i raczej banalnej fabuły, zyskując niezłe oceny zawodowych krytyków, zdobyła ogromną popularność. Widzowie docenili żywą akcję filmu, dobre gagi i żarty i chyba mniej świadomy przekaz ukryty w dobrodusznej satyrze.

Toula Portokalos, podobnie jak jej odtwórczyni, jest z pierwszego pokolenia greckich emigrantów urodzona w USA. Zakochuje się z wzajemnością w Amerykaninie – Ianie Millerze. Jednakże rodzina a zwłaszcza ojciec woleliby za zięcia mieć Greka. Zderzenie tradycji i zwyczajów ze sztywnym, amerykańskim konwenansem owocuje wieloma humorystycznymi sytuacjami, lecz w końcu nadchodzi oczekiwany *happy end* uwieńczony bogatym greckim weselem.



i tradycji. Co więcej choć hałaśliwa i mało dyskretna, czasem wręcz uciążliwa – jest jednocześnie na tyle urzekająca i otwarta, że fascynuje młodego Amerykanina, który decyduje się nawet na ochrzczenie w cerkwi, by stać się w pełni członkiem tej barwnej trochę egzotycznej greckiej rodziny.

Jest to przykład migracji pozytywnej polegającej na podporządkowaniu się prawom i normom państwa-gospodarza, na nietworzeniu zamkniętych gett ale na pielęgnowaniu swojej odrębności kulturowej, kontynuowaniu narodowej pamięci historycznej i utrzymaniu dumy ze swojej proweniencji i ojczystego języka.

Ten ostatni element, czyli rodzimy język, eksponowany jest w filmie przez Gusa Portokalosa jako wartość wyjątkowa i uniwersalna, ale też prowokująca efekty komiczne. Oprócz wspomnianego „kimono” ojciec Touli,

Głównym rdzeniem całej fabuły jest rodzina, przedstawiona w sposób satyryczny, ale pozytywny, na przekór panującej od kilkudziesięciu lat postmodernistycznej modzie jej deprecjacji. Lewicowo-liberalna narracja oskarżająca wielowiekową instytucję rodziny o patriarchalizm, opresyjny stosunek do kobiet i dzieci, zaściankowość, zacofanie, odporność na nowe idee – okazuje się bezradna wobec dynamicznej i pozbawionej kompleksów rodziny obejmującej bliższych i dalszych krewnych. Portokalos Family, jak wynika pośrednio z akcji, jest świetnie zintegrowana w amerykańskiej rzeczywistości, posiadająca udane biznesy, ale nie zapominająca o swoim pochodzeniu oraz swych obyczajach

by uzasadnić swoją zgodę na ślub córki z Ianem Millerem, przeprowadził rozumowanie, którego nie powstydziliby się jego znakomici praprzodkowie, sofiści – filozofowie ze starożytnej Grecji. Wywiódł, że nazwisko Miller pochodzi ze słowa „milo”, co po grecku znaczy jabłko, a ponieważ „portokali” to jest pomarańcz, czyli dwa owoce „nie klóczą się” ze sobą i mogą być razem.

Tak więc z błogosławieństwem seniora obie rodziny Millerów i Portokalosów połączyły się świętymi węzłami małżeńskimi. Trudno jednak wielu ludziom, w tym i niżej podpisanemu, oprzeć się niezbyt optymistycznym refleksjom w obliczu pewnych tendencji i zachowań przedstawicieli tzw. elit ▶



► w Polsce w kwestii poszanowania własnej historii czy narodowej dumy.

Przypomina mi się jak to kilka lat temu, chyba w 2017 roku, pewien bardzo znany, nieżyjący już aktor publicznie oświadczył, że będąc za granicą upomina swoją żonę, by nie mówiła po polsku, gdyż obcokrajowcy mogliby rozpoznać w nich Polaków a on polskości i języka polskiego (taki wniosek z tej wypowiedzi wypłynął) wstydzi się. Pomińmy już całkiem bzdurny argument, że gdziekolwiek na świecie język polski jest na tyle popularny, iż bywa natychmiast rozpoznawalny. Jestem przekonany, że w 99 proc. przypadków nikt go nie odróżnia od innych języków słowiańskich, na przykład



rosyjskiego czy czeskiego. Zauważmy natomiast, że mówił to człowiek, który właśnie temu językowi (jak i temu krajowi) zawdzięcza wszystko: swoją zawodową karierę, rozpoznawalność, popularność, swój niezły jak się wydaje status majątkowy, nawet w tych „siermiężnych” czasach PRL. Język polski był dla Jerzego Stuhra (autora tej nieprawdopodobnej enuncjacji) podstawowym instrumentem spełniania ambicji i marzeń, a mimo to potraktował go jak wyświechtany, zużyty przedmiot, który należy trzymać w lamusie.



Najsmutniejszy w tym incydencie jest fakt, iż ta wypowiedź została przez tzw. elity przyjęta z aprobatą, a w najlepszym przypadku milczeniem. I znowu – ludzie, dla których polszczyzna jest często głównym środkiem ekspresji w ich karierze i pozycji społecznej, a więc aktorzy, pisarze, artyści estradowi, dziennikarze – uznali ten medialny fakt za przejaw odwagi i oryginalności, za buntowniczy gest przeciwko PiS-owskiemu reżymowi. Całkowity odlot już nie na inną planetę, ale na sam krańiec wszechświata.

Czyż należy się dziwić, że ludzie, którzy w wielu przypadkach posiadają głęboką znajomość literatury i szeroko rozumianej kultury dzięki wykształceniu i pracy zawodowej (przypomnijmy, Stuhr ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim) ostatecznie – zamiast błyszczeć w dyskusjach bogactwem rodzimego języka – ograniczali się do tzw. ośmiu gwiazdek?!

Znamy i inne przykłady oraz skutki owej pedagogiki wstydu, której skrajnym przejawem jest ojkofofia. Przywołajmy pamiętne zdanie sprzed kilkunastu laty też już nieżyjącego Władysława Barto-

szewskiego, człowieka zasłużonego, byłego więźnia Oświęcimia – mającego to szczęście, że wypuszczonego po kilku miesiącach – który wojnę przeżył, a w czasach stalinowskich był aresztowany i skazany na kilka lat więzienia. Pan profesor, wąpiący w możliwości i walory naszego kraju, porównał Polskę do „brzydkiej panny bez posagu, która nie powinna być zbyt wybredna”. Abstrahuje od nietaktowności tego porównania w kraju wielu pięknych i zaradnych kobiet, trudno nie dostrzec u pana profesora owego kompleksu niższości, zakorzenionego w mentalności polskiej elity.

Traktowanie przez rodzimą awangardę polityczną Polski jak służebnej dziewczki na europejskim dworze oddającej się byle komu – świadczy albo o traumatycznych doświadczeniach teje pseudoelity albo o jej mniej lub bardziej świadomej agenturalności. Mógłbym w sposób nader obiektywny ocenić greckie społeczeństwo po 35 latach pobytu w tym trochę dziwnym, odstępującym często od europejskich standardów, kraju. Kraju będącym przez prawie 400 lat pod osmańskim panowaniem i islamskimi wpływami. Proszę wierzyć, że nie szczędziłbym Grekom wielu krytycznych ocen, lecz nie mogę nie docenić ich przywiązania do swojej historii od starożytnej Hellady poprzez Cesarstwo bizantyjskie do czasów nowożytnych.

Ten w sumie niewielki naród liczący około 10 mln w Grecji i drugie tyle rozsiądane po całym świecie, często skonfliktowany, gęsto samokrytyczny, ma w sobie ogromny potencjał honoru i dumy, pozwalający mu przetrwać najgorsze dziejowe zakręty. I żaden Grek nie powie, że hellenizm to nie-normalność.

Moje wielkie greckie wesele (ang. *My Big Fat Greek Wedding*) – amerykańsko-kanadyjska komedia romantyczna z 2002 roku według scenariusza Nii Vardalos, która gra główną rolę w filmie.

Pani jesień

ANNA
FASTNACHT-STUPNICKA



■ W złotogłowie i purpurze, z dostojnością starszej pani rozmyślającej o przemijaniu czasu i nadchodzącym spoczynku, wędruje niespiesznie, rozprawiając barwy z malarskim talentem i hojną ręką rozdając plony. W tym roku sypnęła jabłkami w takiej obfitości, że nie wiadomo, co począć z ich nadmiarem – już dość, już słoików brak.

O pani jesieni, która chodzi po świecie i strąca liście z drzew, opowiadałam mojemu dziecku przed półwieczem, gdy miało złociste loczki zamiast siwej obecnie czupryny. W konsekwencji maminy opowieści doszło do sytuacji, która dzisiaj wywołuje nasz śmiech, ale wtedy napełniła mnie panicznym przerażeniem.

Kupowałam bilet na pociąg w kasie dworca głównego, kilkuletni Piotruś stał obok mnie. Gdy schowałam portmonetkę i chciałam wziąć go za rękę, zobaczyłam, że go nie ma, po prostu zniknął. Biegiem przez hol dworca, szukam rozpaczliwie. Nigdzie go nie ma. Biegiem na perony, jeden, drugi, trzeci – ani śladu. I nagle słyszę komunikat przez megafony: „Mama kilkuletniego chłopczyka jest proszona o zgłoszenie się w dworcowym komisariacie milicji”. Boże! Co się stało?! Wpadam z nadzieją i lękiem zarazem do pomieszczenia komisariatu i cóż zastaję: za barierką stoi mój Piotruś uśmiechnięty od ucha do ucha, wyraźnie zadowolony z siebie i zamieszania, które spowodował, a pilnujący go milicjant (nie były to były czasy głębokiej komuny) z nieskrywaną ulgą mówi:

– Jak dobrze, że pani przyszła, bo nie wiedziałem, co z nim zrobić.

Okazało się, że jakaś pani zobaczyła na placu przed dworcem dziecko bez opieki, wzięła je za rękę i przyprowadziła na komisariat.

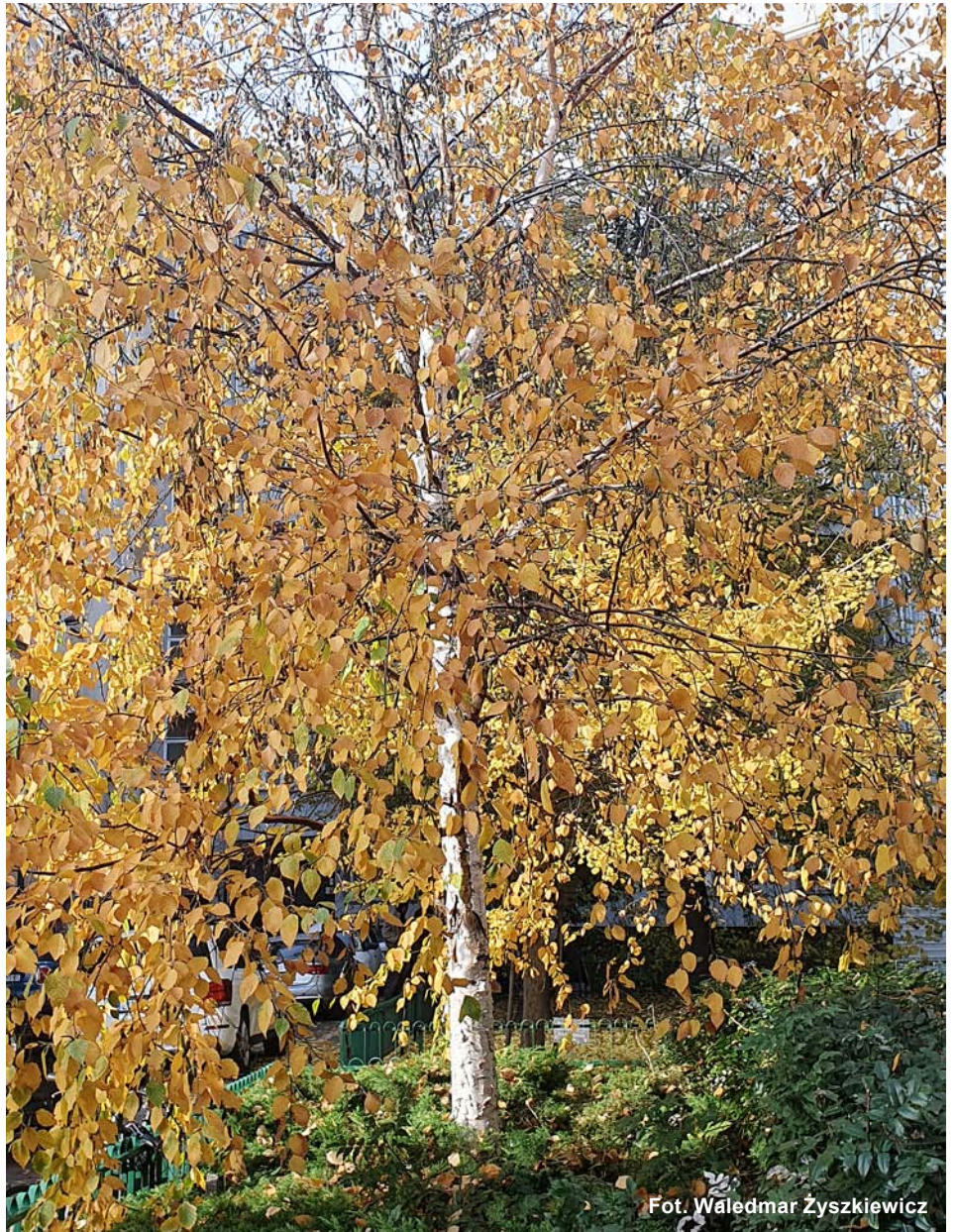
– Dlaczego tam poszedłeś, Piotrusiu, co robiłeś przed dworcem? – pytam dzieciaka nieco już ochłonawszy.

– Byłem zobaczyć panią jesień, bo ona chodzi po świecie i zrzuca liście z drzew.

Dzisiaj, spacerując po parku, patrzę na młode matki, które jedną ręką prowadzą dziecko albo popychają wózek, drugą zaś manipulują w nieodłącznej komórcie. Czasem dają ją marudzącemu niemowlęciu, by się uspokoiło. Obserwuję to z pełną dezaprobatą, ale równocześnie, mając w pamięci opisane wydarzenie, myślę sobie: o ileż to bez-

pieczniejsze – takiego dziecka nie poniesie fantazja, by szukać jakiejś „pani jesieni”, bo będzie wiedziało, że przecież jej nie ma, że to tylko zwykła pora roku, kiedy trzeba zgrabić liście, wrzucić je do worka albo na kompost, ponarzekać na nadmiar pracy. Czy jednak na

pewno tak? Czy świat zamknięty w komórcie, dostępny kliknięciem dziecięcego paluszka, nie uruchomi wyobraźni i nie poprowadzi w nieprzewidywalnym kierunku? Jakim? Oby też w poszukiwaniu ulotnego piękna spadających, złotych liści.



Fot. Włademar Żyszkiewicz

Instytut Kornela Morawieckiego

Prosimy o wsparcie: na cele statutowe. Nr konta: 46 1090 2529 0000 0001 5664 1073